

Georges Simenon

Maigret zastawia sidła

Przełożyła Małgorzata Hołyńska

Wydanie oryginalne: 1955

TMN

Wydanie polskie: 1993

Rozdział 1

Rozgardiasz na Quai des Orfèvres

Już od trzeciej trzydzieści Maigret raz po raz podnosił głowę i patrzył na zegar. Za dziesięć czwarta złożył parafę na ostatnim papierku, pchnął do tyłu fotel, otarł pot z czoła i zawahał się przed wyborem jednej z pięciu leżących na popielniczce fajek, które wypalił nie zadawszy sobie trudu, by je oczyścić. Nacisnął nogą dzwonek pod biurkiem i niemal jednocześnie usłyszał pukanie do drzwi. Ocierając pot wielką rozpostartą chustką, mruknął:

– Wejść.

Wszedł inspektor Janvier, także bez marynarki, ale w krawacie.

– Daj to na maszyny. Jak tylko skończą, niech przyniosą mi do podpisania.

Comélieau musi to otrzymać dziś wieczorem.

Działo się to 4 sierpnia. Pomimo szeroko rozwartych okien nie odczuwało się żadnego przewiewu; znad rozmiękłego asfaltu, rozpalonych kamieni i znad Sekwany, która zdawała się parować jak woda w garnku na kuchni, napływała do pokoju fala gorącego powietrza.

Taksówki i autobusy, wolniej niż zwykle, ociągając się jechały przez most Saint-Michel i nie tylko pracownicy Policji Kryminalnej zawijali rękawy koszuli – przechodnie nieśli marynarki na ramieniu, a Maigret zauważył nawet kilku mężczyzn w szortach, zupełnie jak nad brzegiem morza.

W mieście pozostała chyba jedna czwarta paryżan i wszyscy oni na pewno z zazdrością myśleli o tych, którzy mają teraz szczęście pluskać się w płytkiej wodzie lub łowić ryby w cieniu drzew nad spokojną rzeczułką.

– Pojawili się już ci z naprzeciwka?

– Jeszcze ich nie widziałem. Ma ich na oku Lapointe.

Maigret dźwignął się ciężko, jak gdyby ten ruch kosztował go sporo wysiłku; dokonał wyboru fajki, oczyścił ją starannie, zbliżył się do okna i stał tak chwilę, szukając wzrokiem niewielkiej knajpy na nadbrzeżnym bulwarze Grands-Augustins. Fasada pomalowana na żółto, dwa schodki wiodące w dół do lokalu, chłodnego niewątpliwie jak piwnica, cynkowa lada na starą modłę, ściany z łupku, jadłospis

wypisany kredą na tablicy i nieodłączny zapach calvadosu.

Nawet niektóre stragany bukinistów były zamknięte.

Przez parę minut Maigret stał nieruchomo, pykając fajkę. Przed knajpką zatrzymała się taksówka, wysiadło z niej trzech mężczyzn i skierowało się ku schodkom. Maigret poznał Lognona, inspektora z osiemnastej dzielnicy, który z daleka wydawał się jeszcze niższy i chudszy; po raz pierwszy Maigret widział go w słomkowym kapeluszu.

Co zamówię do picia? Chyba piwo.

Pchnął drzwi do pokoju inspektorów; panowała tu atmosfera rozleniwienia jak w całym mieście.

- Baron jest w korytarzu?
- Od pół godziny, szefie.
- Ktoś jeszcze z prasy?
- Mały Rougin. Dopiero co nadszedł.
- Fotoreporterzy?
- Tylko jeden.

Długi korytarz wydziału kryminalnego był prawie pusty; kilku interesantów czekało przed drzwiami kolegów Maigreta. To właśnie jeden z nich, komisarz Bodard z sekcji finansów, spełniając prośbę Maigreta, wyznaczył na godzinę czwartą przesłuchanie osobnika, którym od dwóch tygodni interesowała się prasa, niejakiego Maxa Bernata, bohatera ostatniej afery finansowej – chodziło w niej o miliardy.

Maigret nie miał z tą sprawą nic wspólnego. Bodard na tym etapie śledztwa nie potrzebował żadnego wsparcia, ale że zapowiedział, niby od niechcienia, iż sprowadzi oszusta tego dnia na godzinę czwartą, w korytarzu czekało już co najmniej dwóch specjalistów od kroniki wypadków i fotograf. Pozostaną tu aż do końca przesłuchania. Może też zjawią się inni, jeśli w porę rozejdzie się wieść o wezwaniu Maxa Bernata na Quai des Orfèvres.

Punktualnie o czwartej w pokoju inspektorów usłyszano hałas na korytarzu, zwiastujący przybycie aferzysty z więzienia Santé.

Maigret odczekał jeszcze z dziesięć minut; kręcił się tu i tam, palił fajkę, od czasu do czasu ocierał pot i spoglądał na żółtą knajpkę po drugiej stronie Sekwany.

Wreszcie zwrócił się do Janviera i pstryknął palcami:

– Jazda!

Janvier podniósł słuchawkę, żeby połączyć się z Lognonem, który z pewnością już czatował przy kabinie telefonicznej, uprzedziwszy knajpiarza: „To do mnie. Właśnie czekam na telefon”.

Wszystko potoczyło się zgodnie z przewidywaniem. Maigret, nieco ociężały, trochę niespokojny, wrócił do swego gabinetu i, zanim usiadł, nalał sobie szklanekę

wody.

Dziesięć minut później na korytarzu rozegrała się zwykła scena. Lognon i jego kolega z osiemnastej dzielnicy, Korsykanin Alfonsi, szli wolno po schodach, a między nimi człowiek, który wyglądał na zażenowanego i kapeluszem zasłaniał sobie twarz.

Baron i jego kumpel Jean Rougin, warujący przy drzwiach komisarza Bodarda, w lot pojęli, co się święci, i ruszyli ku nowo przybyłym; fotoreporter trzymał aparat w pogotowiu.

– Kto to taki?

Znali Lognona. Znali personel policyjny prawie tak dobrze jak członków swoich redakcji. Skoro dwaj inspektorzy z komisariatu na Montmartrze doprowadzają na Quai des Orfèvres faceta, który zakrył sobie twarz, zanim jeszcze spostrzegł dziennikarzy, mogło to znaczyć tylko jedno.

– To do Maigreta?

Lognon nie odpowiedział, dyskretnie zapukał do drzwi gabinetu komisarza. Drzwi otworzyły się. Trzej mężczyźni weszli i drzwi zamknęły się za nimi.

Baron i Jean Rougin zerknęli na siebie jak ludzie, którzy odkryli tajemnicę państwową, a że myślą podobnie, nie muszą dzielić się komentarzem.

– Dobrześ go uchwycił? – spytał Rougin fotografa.

– Tak, ale twarzy nie widać.

– Można się było spodziewać... Podrzuc to czym prędzej do redakcji i zaraz wracaj. Trudno zgadnąć, kiedy stąd wyjdzie.

Zaraz potem opuścił gabinet Alfonsi.

– Kto to? Co za jeden? – zaczęto go wypytywać.

A inspektor zakłopotany:

– Nic nie mogę powiedzieć.

– Dlaczego?

– Takie mam polecenie.

– Skąd się wziął? Gdzieście go nakryli?

– Spytajcie komisarza Maigreta.

– Świadek?

– Nie wiem.

– Nowy podejrzany?

– Przysięgam, że nie wiem.

– Dziękuję za współpracę!

– Gdyby był mordercą, to myślę, że założylibyście mu kajdanki?

Alfonsi oddał się z miną kogoś, kto miałby ochotę powiedzieć więcej; w korytarzu znów zaległa cisza. Przez następne pół godziny nikt nie wchodził i nikt nie wychodził.

Aferzystę Maxa Bernata wyprowadzono w końcu z sekcji finansowej, ale stał się już postacią drugoplanową i tylko dla spokoju sumienia dziennikarze zwrócili się z pytaniami do Bodarda.

– Podał nazwiska?

– Jeszcze nie.

– Zaprzecza, że korzystał z poparcia polityków?

– Nie zaprzecza, nie zeznaje, nie wyjaśnia żadnych wątpliwości.

– Kiedy go pan znów przesłucha?

– Kiedy zostaną sprawdzone pewne fakty.

Maigret, z twarzą zatroskaną, wyszedł z gabinetu, nadal bez marynarki, z rozpiętym kołnierzykiem koszuli, i skierował się w stronę gabinetu dyrektora.

Był to nowy znak: pomimo wakacji, pomimo upału Policja Kryminalna przygotowywała się do jednego z ważnych w jej historii wieczorów; obaj dziennikarze pamiętali, że niektóre przesłuchania trwały całą noc, nieraz całą dobę i dłużej – a nie sposób było dowiedzieć się, co się dzieje za zamkniętymi drzwiami.

Wrócił fotograf.

– Nic nie mówiłeś w redakcji?

– Tyle tylko, żeby wyświetlili film i przygotowali odbitki.

Maigret siedział u szefa z pół godziny; wszedł do swego pokoju opędzając się od dziennikarzy znużonym gestem.

– Proszę nam chociaż powiedzieć, czy to ma związek z...

– Na razie nie mam nic do powiedzenia.

O szóstej kelner z „Brasserie Dauphine” przyniósł piwo. Lucas przeszedł z pokoju inspektorów do gabinetu komisarza. I jeszcze stamtąd nie wyszedł. Wyszedł natomiast Janvier i w kapeluszu na głowie wsiadł przed gmachem do jednego z policyjnych wozów.

Co dziwniejsze, ukazał się Lognon i on także – jak przedtem Maigret – skierował się do gabinetu dyrektora. Pozostał tam wprawdzie tylko dziesięć minut, ale zamiast potem iść do domu, wrócił do pokoju inspektorów.

– Nic nie zauważyłeś? – spytał Baron swego kolegę po fachu.

– Ten jego słomkowy kapelusz?

Inspektora Pechowca – jak go w policji i w prasie nazywano – trudno było sobie wyobrazić w słomkowym kapeluszu, który nadawał mu niemal wesoły wygląd.

– I nie tylko kapelusz.

– Czyżby się uśmiechał?

– Nie, ale miał czerwony krawat.

Lognon zawsze nosił ciemne krawaty, usztywnione na celuloidowej podkładce.

– Co by to znaczyło?

Jeśli chodzi o cudze sekrety, Baron był wszechwiedzący i rozgłaszał je z nikłym uśmiechem.

- Jego żona wyjechała na wakacje.
- Myślałem, że jest przykuta do łóżka.
- Była.
- Wyzdrowiała?

W ciągu długich lat nieszczęsny Lognon musiał w godzinach wolnych od zajęć służbowych robić zakupy, kucharyć, sprzątać małżeńskie mieszkanie przy placu Constantin-Pecqueur – i na domiar wszystkiego pielęgnować żonę, która raz na zawsze zdecydowała się uchodzić za inwalidkę.

– Zawarła znajomość z nową sąsiadką, a ta zaczęła jej zachwalać Pougues-les-Eaux i wbiła jej do głowy, że powinna odbyć tam kurację. No i, rzecz całkiem niesłychana, pojechała w towarzystwie sąsiadki, bez męża, bo on nie może teraz opuścić Paryża. Obie damulki są w tym samym wieku. Ta druga jest wdową...

Ruch na korytarzu wzmógł się: wyszli prawie wszyscy z brygady Maigreta. Ale wrócił Janvier. Lucas przybiegał i wybiegał, czymś zaprzątnięty, z czoła spływał mu pot. Lapointe zjawiał się raz po raz, podobnie Torrence, Mauvoisin (nowy w ekipie) i inni; zagabywano ich w przelocie – bez skutku.

Wkrótce nadeszła mała Maguy z gazety porannej, świeża jak pączek róży, chociaż przez cały dzień panował upał – trzydzieści sześć stopni w cieniu.

- Po coś tu przyszła?
- Po to samo co wy.
- Czyli...?
- Żeby czekać.
- Skąd wiesz, że coś się dzieje?

Wzruszyła ramionami i przesunęła po wargach czerwoną kredką.

- Ilu ich tam jest? – spytała wskazując drzwi gabinetu komisarza.
- Pięciu, sześciu. Ciągłe się kręcą. Wygląda na to, że się zmieniają.
- Śpiewa?
- W każdym razie musi mu być gorąco.
- Kazali przynieść piwo?
- Tak.

Miało to swoje znaczenie: ilekroć do gabinetu wnoszono tacę z piwem, zapowiadało się na dłuższe przesłuchanie.

- Jest z nimi Lognon?
- Tak.
- Triumfujący?
- Z nim nigdy nic nie wiadomo. Włożył czerwony krawat.

– Dlaczego?

– Żona mu wyjechała na kurację.

Rozumieli się w pół słowa. Należeli przecież do tego samego klanu.

– Widzieliście go?

– Kogo?

– No, tego, nad którym się pastwią.

– Widzieliśmy, ale nie twarz... Ukrył ją za kapeluszem.

– Młody?

– Ani młody, ani stary. Na oko po trzydziestce.

– Jak ubrany?

– Zwyczajnie. Jaki miał garnitur, Rougin?

– Szarawy.

– Ja powiedziałbym, że beżowy.

– Na kogo wygląda?

– Na byle przechodnia z ulicy.

Usłyszeli kroki na schodach; wszyscy odwrócili głowy, a Maguy mruknęła:

– To pewnie mój fotograf.

O siódmej trzydziści, gdy już było ich na korytarzu pięcioro, zobaczyli kelnera z „Brasserie Dauphine” niosącego kolejną porcję kanapek i piwa.

Tym razem zapowiadała się wielka gra. Dziennikarze jeden po drugim znikali w małym pomieszczeniu na końcu korytarza, żeby zatelefonować stamtąd do swoich redakcji.

– Idziemy coś zjeść?

– A jeśli on wyjdzie w tym czasie?

– Więc może i my zamówimy kanapki?

– Fajnie.

– I piwo?

Słońce osunęło się za dachy domów, ale jeszcze było widno; powietrze, choć mniej rozgrzane, nie dawało ochłody.

O ósmej trzydziści Maigret otworzył drzwi, zmęczony, z włosami lepiącymi się do czoła. Obrzucił wzrokiem korytarz; mieli wrażenie, że chce do nich podejść, cofnął się jednak i drzwi się za nim zamknęły.

– Chyba ciężko im idzie.

– A nie mówiłem, że mamy przed sobą całą noc czekania? Byłeś tu, kiedy przesłuchiowano Mestorina?

– Wtedy jeszcze siedziałem na kolanach u mamusi.

– Dwadzieścia siedem godzin.

– W sierpniu?

– Nie pamiętam, w którym miesiącu, ale...

Bawełniana sukienka Maguy przylgnęła jej do ciała, pod pachami wystąpiły wielkie plamy potu, wyraźniej zarysowały się kontury majteczek i stanika.

– Zagramy w belotkę?

Lampy pod sufitem zapłonęły. Zbliżała się noc. Dyżurny policjant zajął swoje miejsce w głębi korytarza.

– Nie da się zrobić trochę przeciągu?

Dyżurny otworzył okno i drzwi w jednym z pokoi biurowych, powtórzył ten zabieg w pokoju naprzeciw i po kilku minutach, przy dobrych chęciach, można było odczuć jakby lekki powiew.

– To wszystko, co dla państwa mogę zrobić.

O jedenastej usłyszeli rumor za drzwiami gabinetu. Pierwszy wyszedł Lucas, w progu przepuścił nieznanego, który wciąż zasłaniał twarz kapeluszem. Za nimi wyszedł Lognon. Wszyscy trzej ruszyli ku schodom łączącym siedzibę Policji Kryminalnej z Pałacem Sprawiedliwości, a dalej z celami Souricière.

Dziennikarze trącili się łokciami. W korytarzu rozbrzły flesze. W niespełną minutę później oszklone drzwi zatrzasnęły się i wszyscy runęli hurmem do gabinetu komisarza. Gabinet przypominał pole bitwy: wszędzie niedopałki papierosów, szklanki, popiół, podarte papiery, w powietrzu unosił się zapach spalonego tytoniu. Maigret, bez marynarki, na pół schowany w swojej ściennej szafie, mył ręce nad emaliowanym zlewem.

– Szepnie nam pan jakieś słówko, komisarzu?

Spojrzał na nich ze zdziwieniem jak zawsze w podobnych sytuacjach; zdawał się nikogo nie poznawać.

– Jakieś słówko? – powtórzył.

– Kim jest ten gość?

– Kto taki?

– Człowiek, który od pana wyszedł.

– To ktoś, z kim przeprowadziłem dość długą rozmowę.

– Świadek?

– Nic jeszcze nie mogę powiedzieć.

– Podpisał pan nakaz aresztowania?

Maigret ożywił się nieco i odrzekł przepaszająco, dobrodusznie:

– Bardzo żałuję, panowie, że nie mogę wam odpowiedzieć. Szczerze mówiąc, nie mam nic do zakomunikowania.

– A sądzi pan, że będzie coś do zakomunikowania?

– Nie wiem.

– Zobaczy się pan z sędzią Comélieu?

– Nie teraz.
– Czy to ma związek z mordercą?
– Raz jeszcze proszę mi wybaczyć, nie mogę udzielić żadnej informacji.
– Wraca pan do domu?
– A która to godzina?
– Pół do dwunastej.
– Wobec tego „Brasserie Dauphine” jest jeszcze otwarta, pójdę tam coś przegryźć.

Wyszedł w towarzystwie Janvier'a i Lapointe'a. Kilku dziennikarzy odprowadziło ich aż do restauracji, gdzie wypili po kieliszku przy barze, podczas gdy tamci trzej zajęli stolik w drugiej sali i zmęczeni, zatroskani, dawali zlecenia kelnerowi.

Wkrótce dołączył do nich Lognon; Lucasa wciąż nie było. W czwórkę więc rozmawiali półgłosem tak, że nie można było usłyszeć ani odgadnąć po ruchu warg, o czym mówią.

– Zwiewamy? Mam cię odwiedzić do domu, Maguy?
– Nie. Do redakcji.

Gdy tylko wyszli, Maigret przeciągnął się z wesołym, młodzieńczym uśmiechem na twarzy.

– Otóż to – westchnął.
– Chyba dali się wykołować – rzekł Janvier.
– Oby!
– Co też napiszą?
– Nie mam pojęcia, ale znajdą sposób, żeby wykroić z tego sensację. Zwłaszcza mały Rougin.

Rougin, od niedawna w zawodzie, był młody i agresywny.

– A jeśli się spostrzegą, że zrobiliśmy ich w konia?
– Nie powinni się spostrzec – rzekł Lognon.

Mieli teraz między sobą całkiem innego Lognona; ten Lognon od czwartej po południu wypił cztery małe piwa i nie odmówił kieliszka koniaku, który właśnie postawił im Maigret.

– Co z twoją żoną, stary?
– Píše, że zabiegi dobrze jej robią. Martwi się tylko z mojego powodu.

Nie skłoniło go to mimo wszystko do śmiechu ani nawet do uśmiechu. Istnieją tematy święte. Był jednak mniej spięty, niemal optymistycznie nastrojony.

– Doskonale odegrałeś swoją rolę. Dziękuję. Spodziewam się, że oprócz Alfonsiego nikt o niczym nie wie w twoim komisariacie.

– Nikt.

Rozstali się o dwunastej trzydzieści. Goście jeszcze siedzieli na tarasie; po

upalnym dniu więcej ludzi zażywało względnego chłodu nocy.

– Jedzie pan autobusem?

Maigret pokręcił przecząco głową. Wolał wracać sam piechotą i w miarę jak przemierzał trotuary, opuszczało go podniecenie; na twarzy pojawił się wyraz powagi, niemal lęku.

Mijał samotne kobiety przemykające się pod murami domów; patrzyły na niego z drżeniem, gotowe na byle podejrany gest z jego strony rzucić się do ucieczki albo wzywać pomocy.

W ciągu sześciu miesięcy pięć kobiet, które podobnie jak te wracały samotnie do domu lub szły z wizytą do przyjaciółki, pięć kobiet na ulicach Paryża padło ofiarą tego samego mordercy.

I, co ciekawe, pięć zbrodni popełniono w jednej z dwudziestu dzielnic Paryża, w osiemnastce, na Montmartrze, i nie tylko w tej samej dzielnicy, ale w znacznie bardziej ograniczonym sektorze, który wyznaczały cztery stacje metra: Lamarck, Abbesses, Place Blanche i Place Clichy.

Nazwiska ofiar, czas i miejsce zbrodni – dobrze znane czytelnikom prasy – stały się dla Maigreta prawdziwą obsesją.

Pamiętał wszystkie szczegóły tych spraw, mógłby je cytować bez zajknięcia jak wierszyki wyuczone w szkole.

2 lutego. Avenue Rachel, tuż przy placu Clichy, dwa kroki od oświetlonego bulwaru Clichy: Arlette Dutour, lat dwadzieścia osiem, prostytutka, wynajmująca pokój na ulicy d'Amsterdam.

Dwa ciosy nożem w plecy, z których jeden spowodował natychmiastowy zgon. Regularne ślady po cięciu nożem na ubraniu, parę powierzchownych zadraśnień skóry.

Nie została zgwałcona. Nie zabrano taniej biżuterii ani drobnej sumy pieniędzy z jej torebki.

3 marca. Ulica Lepic, nieco powyżej „Moulin de la Galette”. Wieczorem, kwadrans po ósmej: Józefina Simmer, urodzona w Miluzie, położna, lat czterdzieści trzy, zamieszkała przy ulicy Lamarck; wracała ze Wzgórza Montmartre od pacjentki.

Jeden cios nożem w plecy, prosto w serce. Pocięte ubranie, powierzchowne rany ciała. Torba z narzędziami akuszerskimi leżała obok na chodniku.

17 kwietnia. (Ze względu na zbieżność dat: 2 lutego i 3 marca, przewidywano następny atak 4 kwietnia, ale nic się tego dnia nie wydarzyło). Ulica Etex, na skraju cmentarza Montmartre, prawie naprzeciw szpitala Bretonneau. Trzy minuty po dziewiątej wieczorem, Monika Justeaux, krawcowa, lat dwadzieścia cztery, niezamężna, zamieszkała u matki na bulwarze Batignolles. Wracała od przyjaciółki z avenue Saint-Ouen. Padał deszcz, szła pod parasolem.

Trzy ciosy nożem. Pocięte ubranie. Kradzieży nie stwierdzono.

15 czerwca. Między dziewiątą dwadzieścia a dziewiątą trzydzieści. Ulica Durantin, w tym samym sektorze: Maria Bernard, wdowa, pięćdziesiąt dwa lata, urzędniczka pocztowa, mieszkająca wraz z córką i zięciem przy bulwarze Rochechouart.

Dwie rany zadane nożem. Pocięte ubranie. Drugie pchnięcie nożem przecięło tętnicę szyjną. Brak śladów rabunku.

21 lipca. Ostatnia zbrodnia: Georgette Lecoin, zamężna, matka dwojga dzieci, lat trzydzieści jeden, zamieszkała przy ulicy Lepic, niedaleko od miejsca drugiej napaści.

Mąż denatki pracował na nocnej zmianie w garażu. Jedno z dzieci było chore. Georgette Lecoin schodziła ulicą Tholozé w poszukiwaniu otwartej apteki. Zakończyła życie około dziewiątej pięć; w pobliżu odbywała się zabawa ludowa.

Jeden cios nożem – Pocięta suknia.

Ponury, monotony rejestr. W kwartale Grandes-Carrières wzmocniono siły policyjne. Lognon i jego koledzy przesuwali w nieskończoność terminy swoich urlopów. Czy wezmą je kiedykolwiek?

Po ulicach krążyły patrole. We wszystkich punktach strategicznych rozstawiono wywiadowców. Byli już na posterunkach podczas drugiego, trzeciego, czwartego i piątego napadu.

– Zmęczony? – spytała pani Maigret otwierając drzwi w momencie, kiedy mąż dopiero wchodził na podest.

– Ależ upał!

– Ciągle nic?

– Nic.

– Mówili przed chwilą w radiu o jakimś zamieszaniu na Quai des Orfèvres.

– Już?

– Przypuszczają, że ma to związek z morderstwami w osiemnastej dzielnicy. To prawda?

– Mniej więcej.

– Wpadliście na trop?

– Jeszcze nie wiadomo.

– Jadłes obiad?

– Nawet kolację, przed półgodziną.

Nie nalegała i wkrótce potem zasnęli oboje przy szeroko rozwartych oknach.

Nazajutrz Maigret był już w gabinecie o dziewiątej rano; zabrakło mu czasu na przeczytanie gazet. Leżały teraz na jego biurku. Zabierał się właśnie do lektury, kiedy zadzwonił telefon.

– Maigret?

Po pierwszej sylabie poznał, kto mówi.

– Tak, panie sędzio.

Był to oczywiście Comélieu, odpowiedzialny za śledztwo w sprawie pięciu zbrodni na Montmartrze.

– To wszystko prawda?

– O czym pan mówi?

– O tym, co podają te pismaki w dzisiejszej prasie.

– Jeszcze do niej nie zajrzałem.

– Aresztował pan kogoś?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Może byłoby dobrze, żeby pan zaraz do mnie przyszedł.

– Już idę, panie sędzio.

Lucas, który właśnie wszedł i był świadkiem tej rozmowy, zrozumiał, co znaczy grymas komisarza.

– Zawiadam dyrektora – rzucił mu Maigret – że jestem w Pałacu Sprawiedliwości i mogę nie zdążyć na raport.

I ruszył w drogę, którą wczoraj odbyli Lognon, Lucas i tajemniczy osobnik zasłaniający twarz kapeluszem. W korytarzu pozdrawiali go sędziowie śledczy i policjanci; niektórzy z czekających tu podejrzanych lub świadków dawali mu lekkim ruchem do zrozumienia, że go poznają.

– Proszę wejść. Proszę czytać.

Maigreta ani trochę nie zaskoczył ten ton, przewidywał, że Comélieu będzie zdenerwowany i napastliwy, z trudem powściągający oburzenie, od którego drgały mu wąsiki.

W jednej z gazet przeczytał:

„Czy policja nareszcie ujęła mordercę?”

A w innej:

„Rejwach na Quai des Orfèvres. Czy chodzi o maniaka z Montmartre’u?”

– Chciałbym panu przypomnieć, komisarzu, że wczoraj o czwartej byłem tutaj, w moim gabinecie, co najwyżej dwieście metrów od pańskiego biura, i pod telefonem. Byłem tu i o piątej, i o szóstej, dopiero za dziesięć siódma odwołano mnie do innych zajęć. Później zresztą można mnie było zastać najpierw w domu, a często tam pan telefonował, potem u przyjaciół, ich adres zostawiłem służącemu. Kiedy zdarza się coś tak ważnego...

Komisarz, który cały czas słuchał stojąc bez ruchu, podniósł głowę i wymamrotał:

– Nie zdarzyło się nic ważnego.

Comélieu, zbyt rozpędzony, by mógł się natychmiast zatrzymać, trzepnął ręką w plik gazet.

– A to tutaj? Twierdzi pan, że to wymysły dziennikarzy?

– Domysły.

– Innymi słowy, nic się absolutnie nie stało, a ci panowie domyślają się tylko, że pan kazał sprowadzić nieznanego osobnika, że go pan przesłuchiwał ponad sześć godzin, że go pan odesłał do Souricière, że pan...

– Nikogo nie przesłuchiwałem, panie sędzio.

Tym razem Comélieau, zbity z pantałyku, spojrzął na Maigreta, nic nie rozumiejąc.

– Lepiej będzie, jeśli udzieli mi pan dokładnych wyjaśnień, żebym ja z kolei mógł je przekazać prokuratorowi generalnemu, który nie omieszkał już mnie wezwać.

– Pewien osobnik istotnie przyszedł do mnie wczoraj po południu w towarzystwie dwóch inspektorów.

– Osobnik, którego ci inspektorzy zatrzymali?

– Chodziło raczej o wizytę przyjacielską.

– I dlatego ten człowiek zasłaniał sobie twarz kapeluszem?

Comélieau wskazał zdjęcie zajmujące dwie kolumny na pierwszych stronach różnych gazet.

– Może to kwestia odruchu czy przypadku... Gadaliśmy...

– Przez sześć godzin?

– Czas szybko płynie.

– I posyłał pan po piwo i kanapki.

– Zgadza się, panie sędzio.

Comélieau znów uderzył otwartą dłoń w gazetę.

– Podają tu szczegółowo, kto kiedy wchodził i wychodził.

– Tak, niewątpliwie.

– Kim jest ten człowiek?

– To uroczy chłopak, nazywa się Mazet, Piotr Mazet. Zaraz po zdaniu egzaminów, z dziesięć lat temu zaczął pracę w moim wydziale. Ponieważ liczył na szybszy awans, a także, jak sądzę, z powodu jakichś kłopotów sercowych, prosił o przeniesienie do Afryki Równikowej, gdzie przebywał pięć lat.

Comélieau, całkiem zdezorientowany, zmarszczył brwi i patrzył na Maigreta zastanawiając się, czy aby komisarz z niego nie kpi.

– Musiał wyjechać z Afryki, bo zachorował na malarię; lekarze zabraniają mu wracać. Kiedy się wzmocni fizycznie, może będzie się starał o pracę w Policji Kryminalnej.

– Więc żeby z nim porozmawiać, stworzył pan warunki, które dziennikarze nie wahają się nazwać przygotowaniami do bitwy?

Maigret zbliżył się do drzwi, upewnił się, że nikt nie podsłuchuje.

– Tak, panie sędzio – wyznał w końcu. – Potrzebowałem kogoś najmniej

rzucającego się w oczy, z twarzą nie znaną ani publiczności, ani prasie. Biedny Mazet bardzo się zmienił podczas pobytu w Afryce. Rozumie pan?

– Niezupełnie.

– Nie podałem reporterom żadnej informacji. Słowem nie napomknąłem, że te odwiedziny mają coś wspólnego ze zbrodniami na Montmartrze.

– Ale pan temu nie zaprzeczał.

– Powtarzałem, że nie mam nic do powiedzenia, co jest zgodne z prawdą.

– A oto rezultat! – wykrzyknął sędzia, wskazując znowu gazety.

– Właśnie taki rezultat chciałem osiągnąć.

– Bez konsultacji ze mną, naturalnie. Nawet nie powiadomił mnie pan o tym.

– Tylko dlatego, panie sędzio, żeby oszczędzić panu dzielenia ze mną odpowiedzialności.

– Czego pan oczekuje?

Maigret zapalił fajkę, wygasła od dobrych paru minut, zastanowił się i rzekł powoli:

– Tego jeszcze nie wiem, panie sędzio. Ale myślę, że warto zaryzykować.

Comélieau nie bardzo wiedział, co o tym sądzić; patrzył wciąż na fajkę Maigreta, do której nie mógł się przyzwyczaić. Rzeczywiście tylko komisarz Maigret pozwalał sobie na palenie w tym gabinecie i sędzia uważał to za rodzaj wyzwania.

– Proszę usiąść – powiedział wreszcie z żalem.

I zanim sam usiadł, otworzył okno.

Rozdział 2

Teorie profesora Tissota

W ubiegły piątek wieczorem państwo Maigret szli sobie spokojnie w stronę ulicy Picpus; po drodze mijali ludzi siedzących na progach domów lub na krzeselkach ustawionych wzdłuż chodnika. Od niespełna roku, z niewielkimi zmianami, ciągnęły się comiesięczne tradycyjne kolacje u doktorostwa Pardon.

Doktor Pardon nabrał zwyczaju zapraszania również swoich kolegów po fachu; był to przeważnie ktoś interesujący z uwagi na swoją osobowość lub kierunek prowadzonych badań. Maigret miewał często okazję spotykać tam jakąś sławę lekarską czy wybitnego naukowca.

Początkowo nie zdawał sobie sprawy, że to im zależało na tych spotkaniach: chcieli przyjrzeć mu się z bliska, zarzucali go mnóstwem pytań. Wszyscy o nim słyszeli i byli ciekawi go poznać. Bardzo szybko znajdowali z nim wspólny język i niektóre rozmowy po kolacji, zakrapiane starym likierem, w zacisznym salonie doktorostwa, z oknami zawsze otwartymi na ruchliwą ulicę, kończyły się dopiero późną nocą.

I bardzo często w trakcie tych spotkań ktoś zwracał się nagle do Maigreta, patrząc na niego z powagą:

– Nigdy nie kusiły pana studia medyczne?

Odpowiadał, czerwieniąc się lekko, że było to istotnie jego pierwsze powołanie, ale po śmierci ojca musiał przerwać naukę.

Czyż to nie dziwne, że po tylu latach wyczuwano w nim lekarza? I on, i oni w ten sam sposób podchodzili do człowieka, rozpatrywali jego dolegliwości i upadki. A komisarz policji nie starał się ukryć, jak pochlebia mu fakt, że cenieni powszechnie profesorowie dyskutują z nim o sprawach zawodowych jak z kolegą.

Czy tego wieczoru Maigret zawdzięczał zaproszenie zbrodniarzowi z Montmartre'u, który od miesięcy zaprzętał wszystkie umysły? Możliwe. Doktor Pardon był człowiekiem bezpośrednim, prostolinijnym, a zarazem niezwykle delikatnym i subtelnym. Tego lata wcześniej musiał wziąć urlop, ponieważ na czerwiec udało mu się znaleźć zastępstwo.

Maigret i jego żona zastali w salonie nieznaną parę przed tacą z aperitifami: on był masywnie zbudowany jak wieśniak, włosy miał siwiejące, sztywne, ostrzyżone na jeża, twarz przekrwioną; ona, śniada brunetka, odznaczała się wyjątkową żywością ruchów.

– Moi przyjaciele państwo Maigret... pani Tissot... profesor Tissot – dokonał prezentacji gospodarz.

Był to zatem sławny Tissot, kierujący zakładem dla obłąkanych Sainte-Anne przy ulicy Cabanis. Mimo że często występował w sądzie w roli eksperta, Maigret nie miał jeszcze sposobności go spotkać. Teraz jawił się przed nim nie znany mu dotychczas typ psychiatry: lekarz rzetelny, sumienny, ludzki i jowialny.

Nie czekano długo, by sięść do stołu. Upał nie zelżał, ale pod koniec posiłku rozpadał się drobny deszcz; łagodny szmer kropel wody towarzyszył im przez resztę wieczoru.

Profesor Tissot w ogóle nie brał urlopu: prócz apartamentu w Paryżu miał posiadłość w Ville-d'Avray i co dzień tam jeździł po pracy.

Jak wszyscy jego poprzednicy obserwował Maigreta i raz po raz obrzucał go bystrym spojrzeniem, a każde z tych krótkich spojrzeń wprowadzało jakiś nowy rys do portretu, jaki przedtem stworzył sobie w wyobraźni. Dopiero w salonie, gdy panie oddaliły się, by pogawędzić we własnym gronie, profesor Tissot znenacka przypuścił atak.

– Czy pana trochę nie przeraża pańska odpowiedzialność?

Maigret w mig uchwycił sens pytania.

– Mówi pan zapewne o wypadkach w osiemnastej dzielnicy?

Profesor Tissot przytaknął mrugnięciem powiek. I to prawda: w całej swej karierze Maigret nie prowadził sprawy bardziej niepokojącej. Nie szło tu o zwykłe wykrycie sprawcy zbrodni. Dla społeczeństwa problem nie ograniczał się tym razem do ukarania przestępcy.

Był to problem obrony. Zginęło pięć kobiet i nic nie skłaniało do przypuszczeń, że lista jest już zamknięta.

Na domiar złego zawodziły dotychczasowe środki ostrożności. Machina policyjna, puszczona w ruch po pierwszej napaści, nie zapobiegła żadnej z następnych.

Maigret zdawał się pojmować, co ma na myśli Tissot mówiąc o odpowiedzialności. Od niego bowiem, ściślej: *od sposobu, w jaki rozważał całe zagadnienie*, zależał los pewnej liczby kobiet.

Czy doktor Pardon też tak to rozumiał i dlatego zorganizował im spotkanie?

– Pod pewnym względem dotyczy to mojej specjalności – dodał profesor – ale nie chciałbym być w pańskiej skórze. Społeczeństwo wpada w panikę, prasa nic nie robi,

żeby je uspokoić, władze domagają się podjęcia różnych, nieraz sprzecznych z sobą, działań. Tak to wygląda?

– Dokładnie tak.

– Sądzę, że zauważył pan niektóre charakterystyczne cechy łączące wszystkie te zbrodnie?

Trafił od razu w sedno rzeczy i komisarzowi mogłoby się wydawać, że ma przed sobą któregoś ze swych kolegów z Policji Kryminalnej.

– Pozwoli pan... tak między nami... że zapytam, co pana najbardziej zastanowiło?

Trochę to przypominało egzamin i Maigret – choć mu się to rzadko zdarzało – poczerwieniał.

– Typ ofiar – powiedział jednak bez wahania. – Pyta pan o zasadnicze cechy, prawda? Nie mówiłem panu o innych, a są dość liczne. Jeśli, jak w tym przypadku, mamy do czynienia z serią przestępstw, szukamy przede wszystkim cech wspólnych.

Trzymając w ręku kieliszek armaniaku Tissot, którego twarz bardziej pokraśniała po kolacji, słuchał Maigreta z aprobatą niczym szef podwładnego.

– Godzina, na przykład?

Najwyraźniej chciał wykazać się znajomością realiów; studiował je za pośrednictwem prasy i rozważał na różne sposoby, a także z czysto policyjnego punktu widzenia.

Teraz z kolei uśmiechnął się Maigret, bo było w tym coś wzruszającego.

– Godzina, istotnie. Pierwsza napaść o ósmej wieczorem w lutym. Zatem w ciemności. 3 marca kwadrans później i tak aż do lipca: kilka minut przed dziesiątą. Dowodzi to niezbicie, że morderca czeka na zapadnięcie zmierzchu.

– Daty?

– Przeanalizowałem je ze dwadzieścia razy i w końcu zrobił mi się mętlik w głowie. Na moim biurku mógłby pan zobaczyć kalendarz pełen znaków czarnych, niebieskich i czerwonych. Jak przy łamaniu kodu próbowałem wszystkich systemów, wszystkich kluczy. Najpierw mówiliśmy o pełni księżyca.

– Ludzie przypisują duże znaczenie wpływowi księżyca, kiedy chcą usprawiedliwić czyny, których nie umieją sobie wytłumaczyć.

– Pan w to wierzy?

– Jako lekarz, nie.

– A jako człowiek?

– Nie wiem.

– Tak czy owak to wyjaśnienie odpada, bo tylko dwie z pięciu zbrodni popełniono przy pełni księżyca. Zacząłem więc szukać gdzie indziej. Wziąłem pod uwagę dni tygodnia. Niektórzy upijają się w soboty. Jedno z morderstw popełniono w sobotę. W pewnych zawodach wolny dzień nie przypada w niedzielę, lecz w innym dniu...

Odnosił wrażenie, że Tissot, podobnie jak on, brał pod uwagę różne hipotezy.

– Pierwszym naszym ustaleniem, że się tak wyrażę – ciągnął Maigret – jest dzielnica. Morderca niewątpliwie zna doskonale każdy jej zakątek. Znajomości ulic, miejsc oświetlonych i nie oświetlonych, odległości między jakimiś dwoma punktami należy przypisać fakt, że nie tylko trudno go pochwycić, ale i zobaczyć.

– Prasa pisała o świadkach, którzy twierdzą, że go widzieli.

– Przesłuchaliśmy wszystkich. Lokatorka z pierwszego piętra domu przy avenue Rachel upiera się na przykład, że jest to człowiek wysoki, szczupły, w żółtawym płaszczu nieprzemakalnym, w kapeluszu pilśniowym nasuniętym na czoło. Takim stereotypowym rysopisem, często podawanym w tego rodzaju sprawach, nie ufamy na Quai des Orfèvres. Ponadto zostało udowodnione, że z okna, przez które rzekomo wyglądała ta kobieta, nie można dostrzec miejsca zbrodni. Zeznania pewnego chłopczyka są z natury rzeczy ważniejsze, ale tak mętne, że wprost nic nie mówiące. Dotyczyły zbrodni na ulicy Durantin. Pamięta pan?

Tissot przytaknął.

– Słowem, ten człowiek zna doskonale dzielnicę i dlatego wszyscy myślą, że w niej mieszka, co stwarza tam atmosferę szczególnie niepokojącą. Sąsiedzi obserwują się nawzajem podejrzliwie. Otrzymaliśmy setki listów sygnalizujących nam dziwne zachowanie ludzi całkiem normalnych. Przyjeliśmy hipotezę, że morderca nie mieszka w tej dzielnicy, ale w niej pracuje.

– Wymaga to nie lada dochodzenia.

– I pochłania tysiące godzin. Że nie wspomnę, ile czasu zajęło nam sprawdzanie dossiers różnych kryminalistów i maniaków. Do pańskiego zakładu, jak do wszystkich innych, dotarł zapewne nasz kwestionariusz z pytaniami o pacjentów wypisanych w ciągu paru ostatnich lat.

– Moi współpracownicy już go wypełnili.

– Kwestionariusz ten wysłaliśmy do zakładów zamkniętych na prowincji i za granicą, a także do lekarzy praktykujących.

– Mówił pan jeszcze o innym ustaleniu.

– Oglądał pan zdjęcia ofiar w dziennikach. Publikowano je w różnych okresach. Nie wiem, czy próbował pan obejrzeć te zdjęcia wszystkie razem, ułożone jedno obok drugiego.

Tissot znów skinął twierdząco głową.

– Te kobiety pochodzą z różnych stron. Jedna urodziła się w Miluzie, inna na Południu, jeszcze inna w Bretanii, dwie w Paryżu lub na jego przedmieściu. Profesjonalnie nic ich z sobą nie wiąże: prostytutka, położna, krawcowa, urzędniczka z poczty i matka dzieciom. Nie wszystkie mieszkają w osiemnastej dzielnicy. Ustaliśmy, że nie znały się i najprawdopodobniej nigdy nie spotkały.

– Nie wyobrażałem sobie, że prowadziliście aż tak wszechstronne śledztwo.
– Posunęliśmy się jeszcze dalej, upewniając się, że nie chodziły do tego samego kościoła, nie kupowały u tego samego rzeźnika, nie miały tego samego lekarza ani nawet dentysty, nie bywały w określone dni w tym samym kinie czy w sali tańca. Skoro powiedziałem o tysiącach godzin...

– Nic to nie dało?

– Nic. Nie spodziewałem się zresztą żadnego rezultatu, ale byłem obowiązany wszystko posprawdzać. Nie wolno nam lekceważyć najmniejszego drobiazgu.

– Pomyślał pan o wakacjach?

– Rozumiem. Mogły oczywiście spędzać je rokrocznie w tej samej miejscowości na wsi bądź nad morzem, ale tak nie było.

– Czyli morderca wybierał je przypadkowo, korzystając z dogodnej sposobności.

Maigret był przekonany, że profesor nie wierzy temu i że zrobił już to samo spostrzeżenie co on.

– Nie, niezupełnie. Te kobiety, gdy się im dobrze przyjrzeć na zdjęciach, mają jednak, jak powiedziałem, coś wspólnego: tuszę. Jeśli się nie porównuje ich twarzy, tylko sylwetki, to łatwo zauważyć, że są dość niskie i raczej pulchne, niemal tęgie, wąskie w talii i szerokie w biodrach, nawet najmłodsza z tych pięciu, Monika Juteaux.

Doktor Pardon i profesor Tissot wymienili znaczące spojrzenia. Spojrzenie doktora zdawało się mówić: „Wygrałem zakład. Komisarzowi też to nie umknęło”.

– Moje gratulacje, drogi komisarzu – odezwał się z uśmiechem Tissot. – Widzę, że nie mogę pana niczego nauczyć. – I dodał po chwili wahania: – Podzieliłem się moją obserwacją z doktorem, zastanawiając się, czy policja tego nie przeoczyła. Dlatego też i dlatego, że od dawna pragnąłem pana poznać, Pardon zaprosił na dzisiejszy wieczór moją żonę i mnie.

Rozmawiali na stojąco. Gospodarz zaproponował, by usiedli blisko okna, przez które dolatywały strzępy audycji radiowych. Deszcz wciąż padał tak drobny, że kropelki wody zdawały się delikatnie łączyć z sobą, by pokryć ciemnym lakierem bruk uliczny.

Maigret pierwszy przerwał milczenie.

– Wie pan, panie profesorze, jaki problem dręczy mnie najbardziej? Jeśli się go rozwiąże, to, moim zdaniem, będzie można ująć mordercę.

– Słucham pana.

– Ten człowiek nie jest już dzieckiem. A zatem przeżył dwadzieścia, trzydzieści, może więcej lat i nie dopuścił się żadnego wykroczenia. I oto w ciągu sześciu miesięcy pięć razy zabił. Pytanie, jakie sobie stawiam, dotyczy momentu początkowego. 2 lutego przestał być nieszkodliwym obywatelem, a stał się niebezpiecznym maniakiem. Dlaczego? Czy pan, człowiek nauki, znajduje tu jakieś

wytlumaczenie?

Tissot przyjął te słowa z uśmiechem i raz jeszcze zerknął na doktora Pardon.

– Chętnie przypisuje się nam, ludziom nauki, jak pan to określił, wiedzę i władzę, których nie posiadamy, Postaram się jednak panu odpowiedzieć, wyjaśniając nie tylko to, co ma związek z szokiem inicjacyjnym, ale też z samym przypadkiem. Nie użyję terminów naukowych czy technicznych, które najczęściej służą do maskowania naszej ignorancji. Prawda, doktorze?

Była to z pewnością złośliwa, zrozumiała dla obu aluzja do któregoś z kolegów po fachu.

– Wobec serii zbrodni, jakie teraz omawiamy, reagujemy zazwyczaj stwierdzeniem, że chodzi o maniaka lub obłąkanego. *Grosso modo* jest to słuszne rozpoznanie. Zabić pięć kobiet w okolicznościach nie nasuwających wyraźnego motywu czynu, a następnie pociąć ich ubranie, wydaje się sprzeczne z zachowaniem się jednostki normalnej. Dlaczego i jak się to zaczęło, pozostaje problemem bardzo skomplikowanym i trudno go rozwiązać. Prawie co tydzień wzywają mnie w charakterze eksperta do sądu przysięgłych. W ciągu mojej kariery zaobserwowałem, że znaczenie odpowiedzialności za czyn przestępczy ulega ewolucji tak szybkiej, że moim zdaniem nasze pojęcia o sprawiedliwości uległy zmianie, jeśli się w ogóle nie zachwiały. Kiedyś pytano nas: „Czy w chwili popełniania zbrodni oskarżony był odpowiedzialny za swój czyn?” I to słowo odpowiedzialność miało swój dość konkretny sens. Obecnie wymaga się od nas wyceniania odpowiedzialności Człowieka przez duże C i niejednokrotnie odnoszę wrażenie, że to już nie funkcjonariusze sądowi i nie ławnicy decydują o losie przestępcy, lecz my, psychiatrzy. Tymczasem w większości wypadków nie wiemy więcej niż profani. Psychiatria pozostanie nauką tak długo, jak długo będą istniały urazy psychiczne, nowotwory, nienormalny rozwój jakiegoś gruczołu czy jakiejś funkcji organizmu. W takich razach istotnie możemy z czystym sumieniem powiedzieć, że dany człowiek jest zdrowy lub chory, odpowiedzialny lub nieodpowiedzialny za swoje postępowanie. Ale takie przypadki rzadko występują i większość tych osobników dostaje się do zakładów zamkniętych. Dlaczego inni, jak zapewne ten, o którym mówimy, inaczej postępują niż ich bliźni? Myślę, panie komisarzu, że wy wiecie o tym tyle samo, jeśli nie więcej od nas.

Doktorowa Pardon przyniosła im butelkę armaniaku.

– Nie przerywajcie sobie, panowie. Jesteśmy bardzo zaabsorbowane wymienianiem przepisów kulinarnych. Napije się pan armaniaku, profesorze?

– Pół kieliszeczka.

W świetle, łagodnym jak deszcz padający za oknami, rozmawiali aż do pierwszej w nocy. Maigret nie wszystko dokładnie zapamiętał z tej długiej pogawędki

przeplatanej dygresjami, które daleko odbiegały od głównego tematu. Utkwiła mu na przykład w pamięci ironiczna uwaga profesora, rzucona tonem człowieka, który ma stare rachunki do wyrównania:

– Gdybym stosował ślepo teorie Freuda, Adlera czy nawet psychoanalityków współczesnych, nie zawahałbym się stwierdzić, że ten morderca jest maniakiem seksualnym, chociaż nie usiłował zgwałcić żadnej z kobiet. Mógłbym też powołać się na kompleksy, na przeżycia z wczesnego dzieciństwa...

– Odrzuca pan takie wyjaśnienie?

– Nie odrzucam, ale nie dowierzam wyjaśnieniom, które są zbyt łatwe.

– Nie ma pan własnej teorii?

– Teorii... nie. Może pewną ideę, ale, przyznaję, obawiam się ją panu zdradzić, bo nie wolno mi zapominać o tym, że na pana barkach ciąży odpowiedzialność za śledztwo. Co prawda, barki ma pan tak szerokie jak moje. Pochodzi pan ze wsi, nie?

– Z Allier.

– A ja z Cantal. Mój osiemdziesięcioletni ojciec żyje jeszcze na swojej fermie.

Najwyraźniej był z tego bardziej dumny niż z tytułów naukowych.

– Leczyłem wielu obłąkanych lub na pół obłąkanych, że się tak nienaukowo wyrażę, którzy dopuszczali się przestępstw. I jedno z moich ustaleń, jak to pan nazwał przed chwilą, obejmowało niemal ich wszystkich: jest to świadoma bądź nieświadoma potrzeba sprawdzenia się. Rozumie pan, co mam na myśli?

Maigret przytaknął.

– Prawie wszyscy, słusznie czy niesłusznie, uchodzili w swoim środowisku za niesolidnych, przeciętnych albo opóźnionych w rozwoju, i to ich upokarzało. Jaką drogą owo upokorzenie, długi czas tłumione, wybucha nagle w formie zbrodni, zamachu, agresywnego gestu lub brawury? Ani moi koledzy, o ile wiem, ani ja nie mogliśmy tego dociec. Nie jest może ortodoksyjne to, co teraz powiem, zwłaszcza streszczone w paru słowach, ale mam przekonanie, że większość zbrodni, pozornie bez motywów, szczególnie zaś zbrodni seryjnych, wynika z manifestowania dumy.

Maigret zamyślił się.

– Zgadza się to z pewnym moim spostrzeżeniem – mruknął.

– Mianowicie?

– Że gdyby przestępcy nie odczuwali pręcej czy później potrzeby pochwalenia się swoim czynem, byłoby ich znacznie mniej w więzieniach. Wie pan, gdzie szukamy sprawcy zbrodni, którą nazywamy bestialską? Dawniej w domach schadzek, dzisiaj, ponieważ już nie istnieją, w łóżkach dziewczyn uprawiających prostytutkę. Wobec nich kryminaliści nie boją się mówić. Nie liczą się z nimi. Są przeświadczeni, że niczym nie ryzykują, i na ogół mają rację. Zwierzają się. Często koloryzują.

– Próbowaliście zatem...?

– W Paryżu, a szczególnie w okolicy Clichy i Montmartre’u, nie ma dziewczyny tego pokroju, której byśmy w ostatnich miesiącach nie przestuchali.

– Bez rezultatu?

– Bez.

– To gorzej.

– Chce pan powiedzieć, że, nie doznawszy ulgi, zaczniesz na nowo?

– Tak. Mniej więcej.

Maigret przestudiował niedawno historyczne przypadki analogiczne do mordów w osiemnastej dzielnicy – od Kuby Rozpruwacza po Wampira z Düsseldorfu, nie pomijając ulicznego latarnika z Wiednia i Polaka z fermy w departamencie Aisne.

– Sądzi pan, że sami nigdy już nie zdołają się powstrzymać? – spytał Maigret. – A jednak mamy precedens: Kuba Rozpruwacz wycofał się i z dnia na dzień przestano o nim mówić.

– Kto panu zareczy, że nie zginął w wypadku lub po prostu nie umarł?

Powiedziałbym więcej, ale nie jako naczelny lekarz z Zakładu Świętej Anny, bo zbyt się dystansuję od teorii oficjalnych. Osobnicy z kategorii pańskiego mordercy zaczynają działać pod przemożnym wpływem chęci, by dać się złapać, co także jest przejawem dumy. Nie znoszą myśli, że w oczach swego otoczenia uchodzą nadal za miernoty. Pragną wykrzyknąć przed całym światem, co zrobili i do czego są zdolni. Co nie znaczy, że robią to z rozmysłu, ale prawie zawsze w miarę popełniania kolejnych przestępstw stają się mniej ostrożni, jak gdyby rzucali wyzwanie policji, własnemu losowi. Niektórzy mówili mi, że po aresztowaniu odczuwają ulgę.

– Słyszałem takie wyznania.

– No widzi pan.

Kto z nich pierwszy – profesor czy komisarz – wpadł na ten pomysł? Podczas długich godzin wieczornych na wszelkie sposoby roztrząsali interesujące ich zagadnienie i naprawdę trudno byłoby odtworzyć wypowiedzi każdego z nich.

Może profesor podsunął sugestię, ale tak dyskretnie, że nawet doktor Pardon tego nie spostrzegł?

Już po północy Maigret mruknął jakby sam do siebie:

– Założmy, że ktoś inny zostanie aresztowany i w pewnym sensie zajmie miejsce mordercy, przywłaszczając sobie to, co tamten uznaje za własną chwałę...

Oto konkluzja, do jakiej doszli obaj.

– Myślę, że istotnie pański morderca dozna uczucia frustracji – rzekł profesor Tissot.

– Powstaje pytanie, jak zareaguje. A także, kiedy zareaguje.

Maigret na tym jednak nie poprzestał: odsunął już na bok teorię, żeby zastanowić się nad rozwiązaniem praktycznym.

O zabójcy z Montmartre'u nic nie wiadomo. Żadnych szczegółów rysopisu. Operował dotychczas na określonym terenie, ale nic nie świadczyło o tym, że jutro nie zjawi się w innym punkcie Paryża lub gdziekolwiek indziej.

Groźba przybierała na sile tym bardziej, że była niesprecyzowana, niejasna.

Czy minie miesiąc, zanim odważy się na nowy mord? Czy może tylko trzy dni?

Nie sposób było utrzymywać w nieskończoność stanu pogotowia na każdej ulicy paryskiej. Nawet kobiety, które po każdej zbrodni ukrywały się czas jakiś w domu, powracały do zwykłego trybu życia, mówiąc sobie, że niebezpieczeństwo minęło.

– Znałem mi są dwa wypadki – rzekł po krótkim milczeniu Maigret – kiedy to kryminaliści wysyłali do gazet protest przeciw aresztowaniu niewinnych.

– Ci ludzie często pisują do prasy powodowani tym, co nazywam ich ekshibicjonizmem.

– To by nam pomogło.

Nawet list ułożony z liter wycinanych z gazet może służyć za punkt zaczepienia w śledztwie nie mającym żadnych danych.

– Może zrobić jeszcze coś innego...

– Właśnie o tym pomyślałem.

Owo „coś innego” byłoby nową zbrodnią, nie różniącą się od poprzednich, dokonaną zaraz po aresztowaniu rzekomego sprawcy...

Pożegnali się przed domem państwa Pardon, koło samochodu profesora, który wraz z żoną wracał do Ville-d'Avray.

– Podwieźć państwa, komisarzy?

– Mieszkamy w tej dzielnicy i lubimy chodzić piechotą.

– Wydaje mi się, że i w tej sprawie będę musiał występować jako ekspert w sądzie przysięgłych.

– Pod warunkiem, że ujmiemy winnego.

– Wierzę w pana.

Uścisnęli sobie ręce i Maigret odniósł wrażenie, że tego wieczoru zrodziła się między nimi przyjaźń.

– Szkoda, że nie miałeś okazji pogadać z jego żoną – rzekła nieco później pani Maigret, gdy oboje posuwali się wzdłuż domów. – To najinteligentniejsza z kobiet, jakie kiedykolwiek spotkałam. A jej mąż...?

– Bardzo porządny człowiek.

Deszcz był świeży, orzeźwiający i komisarz – tak jak to robił w dzieciństwie – ukradkiem wysuwał od czasu do czasu język, by pochwycić parę kropli o zupełnie wyjątkowym smaku; pani Maigret udawała, że tego nie widzi.

– Prowadziliście chyba jakąś poważną dyskusję.

– Tak...

I już nic więcej na ten temat nie powiedzieli. Znaleźli się znów u siebie, w swym mieszkaniu; okna cały czas były otwarte, pani Maigret musiała tu i tam wytrzeć parkiet.

Może zasypiając, może rankiem po przebudzeniu komisarz powziął decyzję. Przypadek chciał, że tegoż dnia wczesnym przedpołudniem zjawił się w jego gabinecie na Quai des Orfèvres niejaki Piotr Mazet, który przed ośmioma laty był jednym z inspektorów Maigreta.

– A cóż ty robisz w Paryżu?

– Nic, szefie. Nabieram sił. Chorowałem przez te różne afrykańskie owady i lekarze nalegają, żebym jeszcze kilka miesięcy wypoczywał. No i pomyślałem sobie, czy nie znalazłaby się tu dla mnie jakaś robótka.

– Tam do licha!

Dlaczego nie miałby to być Mazet? Chłopak inteligentny i niczym nie ryzykuje, bo nikt go nie zna.

– Chcesz mi oddać przysługę?

– Jeszcze pan pyta!

– Wpadnij więc do mnie wpół do pierwszej, zjemy coś razem.

Nie w „Brasserie Dauphine”, gdzie zwrócono by na nich uwagę.

– A raczej nie, nie przychodź tutaj i unikaj pokazywania się w biurze. Czekaj na mnie przy stacji metra Châtelet.

Wybrali się zatem do restauracji na ulicy Saint-Antoine i komisarz wyjaśnił Mazetowi, czego się po nim spodziewa.

Dla większego prawdopodobieństwa lepiej będzie, jeśli Mazeta doprowadzą nie ludzie z Quai des Orfèvres, lecz inspektorzy z osiemnastej dzielnicy, i komisarz natychmiast pomyślał o Lognonie. Kto wie? Może to da Pechowcowi jakąś szansę. Zamiast patrolować ulice na Montmartrze zwiąże się ściślej ze śledztwem.

– Dobierz sobie takiego kolegę, o którym na pewno wiesz, że się nie wygada.

Lognon wybrał Alfonsiego.

I komedia odniosła pełny sukces, jako że wszyscy dziennikarze podali wiadomość o sensacyjnym aresztowaniu.

– Byli świadkami, jak tamci wchodzili i wychodzili, więc sami z tego wyciągnęli wnioski – powtarzał Maigret sędziemu Comélieu. – Ani ja, ani żaden z moich współpracowników z niczym się nie zdradził. Nawet zaprzeczaliśmy.

Na twarzy sędziego rzadko widywano uśmiech, choćby tylko ironiczny.

– A jeżeli ze względu na to sfingowane aresztowanie ludzie przestaną być ostrożni i dziś albo jutro wieczorem dowiemy się o nowej zbrodni?

– Zastanawiałem się i nad tym. Po pierwsze: w ciągu najbliższych wieczorów wszyscy dyspozycyjni od nas i z osiemnastego komisariatu obstawią całą dzielnicę.

– Już to robiliście i bez wyników, o ile wiem.

To prawda. Ale czy dlatego nie należało nic przedsięwziąć?

– Podjąłem jeszcze inny środek zapobiegawczy. Byłem u prefekta policji...

– Bez powiadomienia mnie o tym?

– Jak już powiedziałem, zależy mi na tym, żeby cała odpowiedzialność spadła na mnie. Jestem tylko policjantem. Pan jest wyższym urzędnikiem sądowym.

Comélieau, któremu słowa te sprawiły przyjemność, zwrócił baczniejszą uwagę na własne zachowanie.

– O co pan prosił prefekta?

– Żeby mi pozwolił na skorzystanie z dobrowolnej pomocy kobiet z policji miejskiej.

Zajmowały się one, ogólnie rzecz biorąc, sprawami nieletnich i prostytucji.

– Z polecenia prefekta zwerbowano grupę policjantek odpowiadających pewnym warunkom.

– Na przykład?

– Wzrost i tusza. Spośród wolontariuszek wybrałem typy najbardziej podobne fizycznie do pięciu ofiar. Tak jak tamte, ubiorą się skromnie, żeby sprawiać wrażenie poruszających się swobodnie mieszkanek tej dzielnicy, niektóre będą niosły jakąś paczkę lub torbę na zakupy.

– Czyli zastawia pan sidła.

– Wybrane przeze mnie kobiety przeszły kurs samoobrony i znają dżudo.

Comélieau był jednak trochę zdenerwowany.

– Mam o tym pomówić z prokuratorem generalnym?

– Lepiej nie.

– Wie pan, komisarzu, że wcale mi się to nie podoba?

A na to Maigret z rozbrajającą prostotą ducha:

– Mnie także nie, panie sędzio.

Co zgadzało się z prawdą. Ale czy nie należy próbować, imając się wszelkich możliwych sposobów, byle położyć kres tej hekatombie?

– Oficjalnie nie jestem o tym poinformowany, prawda? – rzekł wysoki urzędnik sądowy, odprowadzając do drzwi swego gościa.

– Nie wie pan absolutnie o niczym.

I Maigret wolałby, żeby tak było.

Rozdział 3

Dzielnica w stanie oblężenia

Baron, zadomowiony na Quai des Orfèvres prawie od tak dawna jak Maigret, mały Rougin, jeszcze całkiem młody, ale przemyślniejszy od kolegów, czterech, pięciu innych, pośledniejszych, wśród nich najbardziej niebezpieczna Maguy, która z niewinną miną potrafiła wślizgiwać się do nie zamkniętych na klucz pokoi lub podkraść rozrzucone na biurkach papiery, kilku fotoreporterów, skrzykujących się w razie potrzeby – całe to bractwo spędziło większą część dnia w swojej kwaterze głównej, to jest w korytarzu Quai des Orfèvres.

Od czasu do czasu jakaś grupka wymykała się do „Brasserie Dauphine”, żeby się orzeźwić albo zatelefonować, zawsze jednak zostawał ktoś na czatach, tak że drzwi gabinetu Maigreta znajdowały się pod stałym nadzorem.

Rougin w dodatku wpadł na pomysł, by któryś z pracowników jego gazety śledził Lognona – Lognon miał więc obstawę od momentu, gdy rankiem wychodził z domu przy placu Constantin-Pecqueur.

Ci ludzie wiedzieli, co w trawie piszczy – jak mówili – i znali się na rzeczy nie gorzej od doświadczonych inspektorów.

Ale żaden z nich nie domyślał się, jakiego rodzaju operacja dokonuje się niemal na ich oczach ani jak gigantyczną akcją rozpoczęto we wczesnych godzinach rannych, na długo przed wizytą Maigreta u sędziego Comélieu.

Na przykład: inspektorzy z innych dzielnic, tak odległych jak dwunasta, czternasta czy piętnasta, opuścili swoje domy ubrani inaczej niż zazwyczaj; niektórzy, niosąc walizy bądź walizeczki, ruszyli, zgodnie z instrukcją, w stronę dworców kolejowych.

Upał był nie mniejszy niż wczoraj, w częściach miasta, nie odwiedzanych przez turystów, tempo życia stało się wolniejsze; wszędzie po trosze krążyły autokary z zagranicznymi gośćmi i słychać było głosy przewodników.

W osiemnastce, zwłaszcza w sektorze, gdzie popełniono pięć zbrodni, zaroiło się nagle od taksówek, które podjeżdżały pod hotele i pensjonaty; pasażerowie, przyjezdni z prowincji – sądząc po bagażach – pytali o wolne pokoje i prawie zawsze

nalegali, by okna wychodziły na ulicę.

Wszystko to odbywało się według ściśle wytyczonego planu – ten i ów z inspektorów dostał nawet rozkaz, by zabrał z sobą małżonkę.

Rzadko się zdarzało, że podejmowano tak ostre środki ostrożności. Ale czy tym razem można było komukolwiek zaufać? Nic przecież nie wiedzano o mordercy. Ten aspekt sprawy omawiał także Maigret z profesorem Tissot podczas kolacji u doktora Pardon.

– Ogólnie biorąc, w przerwach między kryzysami zachowuje się normalnie, z konieczności, bo w przeciwnym razie ściągnąłby na siebie uwagę.

– Słusznie pan mówi: z konieczności – rzekł psychiatra. – Możliwe nawet, że z uwagi na swój wygląd, sposób bycia czy zawód jest osobnikiem najmniej podejrzanym.

Nie chodziło również o seksualnego obsesjonistę, ponieważ ci maniacy byli od lutego pod kontrolą. I nie mógł to być rozbitek życiowy albo jeden z tych niepokojących dziwaków, za którymi oglądamy się na ulicy.

Czym się zajmował do czasu pierwszej zbrodni? Co robił w okresach między zbrodniami?

Czy był samotnikiem dekującym się we własnym mieszkaniu lub wynajętym pokoju?

Maigret przysięgłby, że nie, że jest to mężczyzna żonaty, wiodący regularny tryb życia – i profesor Tissot skłaniał się ku tej hipotezie.

– Wszystko możliwe – westchnął Tissot. – Nie protestowałbym, gdyby mi powiedziano, że to ktoś z grona moich kolegów. Może nim być każdy, robotnik, urzędnik, drobny kupiec albo znany biznesmen.

Mógłby nim być także właściciel jednego z hoteli, w których zainstalowali się dziś inspektorzy, i oto dlaczego nie należało, jak to bywa w większości wypadków, wejść po prostu do hallu i oznajmić: „Policja! Da mi pan pokój z widokiem na ulicę i nikomu o tym ani słowa”...

Lepiej też było nie dowierzać zbyt dozorcom. Ani informatorom z dzielnicy.

Kiedy Maigret wrócił do biura po rozmowie z sędzią Comélieu, został podobnie jak wczoraj osaczony przez dziennikarzy.

– Konferował pan z sędzią śledczym?

– Złożyłem mu wizytę, tak jak każdego ranka.

– Zawiadomił go pan o wczorajszym przesłuchaniu?

– Pogadaliśmy o tym i owym.

– Nadal nie chce pan nic powiedzieć?

– Nie mam nic do powiedzenia.

Wszedł do gabinetu dyrektora. Składanie raportu dawno się już skończyło. Wielki

szef, on także, był zatroskany.

– Comélieu nie domagał się, żeby pan odstąpił od zamiaru?

– Nie. W razie komplikacji zostawi mnie oczywiście na lodzie.

– Wciąż pan wierzy w...

– A w cóż mam wierzyć?

Maigret nie przystępował do tej próby z lekkim sercem i zdawał sobie sprawę z konsekwencji, jakie mu grożą.

– Sądzi pan, że dziennikarze dadzą się zwodzić aż do końca?

– Robię w tym celu wszystko, co w mojej mocy.

Z prasą, która niejednokrotnie oddawała mu cenne usługi, utrzymywał stosunki przyjazne. Teraz musiał się wystrzegać czyjejś mimowolnej niedyskrecji. Nawet inspektorzy obstawiający Grandes-Carrières nie wiedzieli dokładnie, na co się zanoszą. Wiedzieli tylko, co mają robić. Kazano im zająć wyznaczone posterunki i czekać na dalsze polecenia. Domyślali się, naturalnie, że ma to związek ze zbrodniami na Montmartrze, ale nie orientowali się w całokształcie operacji.

– Myśli pan, że to człowiek odznaczający się inteligencją? – spytał wczoraj Maigret profesora Tissot. Sam wprawdzie wyrobił już sobie opinię na ten temat, zależało mu jednak na jej potwierdzeniu.

– Inteligencją, jaką posiada większość ludzi tego typu. Na przykład: jest zapewne zdolny do instynktownego odgrywania komedii, i to w sposób doskonały. Jeśli przyjmiemy, że jest żonaty, to po każdej ze swych zbrodni musi przybierać zwykłą postawę, nie mówiąc już o zimnej krwi, którą musi zachować po powrocie do domu. O ile nie jest żonaty, to niemniej ma do czynienia z ludźmi, choćby z dozorczynią, sprzątaczką, czy ja wiem? Nazajutrz udaje się do swego biura lub warsztatu i oczywiście spotyka tam osoby, które mówią mu o mordercy z Montmartre'u. A mimo to od sześciu miesięcy nikt go nie podejrzewa. W ciągu pół roku bezbłędnie wybiera porę i miejsce. Żaden ze świadków nie może zapewnić, że widział go w akcji czy uciekającego z miejsca zbrodni.

Wywód profesora nasunął Maigretowi niepokojące pytanie:

– Chciałbym usłyszeć pańskie zdanie na ściśle określony temat. Powiedział pan przed chwilą, że człowiek ten przez większość czasu zachowuje się normalnie, czy zatem myśli wówczas jak człowiek normalny?

– Rozumiem. Tak, jest to prawdopodobne.

– Pięć razy przeżył to, co nazywam kryzysem, pięć razy wyszedł z normalności, żeby zabić. W jakim momencie następuje ów impuls? Wie pan, co chcę powiedzieć? W jakim momencie przestaje się zachowywać jak pan i ja, a zaczyna zachowywać się jak morderca? Czy popada w ten stan kiedy bądź, w ciągu dnia, i czeka na zapadnięcie nocy, przygotowując plan działania? Czy też odwrotnie: doznaje impulsu przy

nadarzającej się okazji, w momencie, gdy idąc pustą ulicą dostrzega przyszłą ofiarę?

Dla komisarza odpowiedź na to pytanie miała kardynalne znaczenie, mogła bowiem zawęzić lub poszerzyć teren poszukiwań.

Gdyby impuls zjawiał się w chwili popełnienia zbrodni, sprawca siłą rzeczy musiałby albo mieszkać w sektorze Grandes-Carrières bądź w pobliżu, albo przynajmniej bywać tam wieczorami z uwagi na swój zawód lub z innych błahych powodów.

W przeciwnym razie możliwe jest, że przychodzi skądkolwiek, że wybiera ulice dzielące plac Clichy od ulicy Lamarck i des Abbesses, powodowany jakąś koniecznością lub z przyczyn znanych tylko jemu.

Profesor Tissot dobrą chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Nie mogę, rzecz jasna, postawić diagnozy bez przebadania pacjenta...

Użył słowa „pacjent”, jak gdyby chodziło o któregoś z jego chorych, co nie uszło uwagi Maigreta i sprawiło mu przyjemność. Utwierdził się w przekonaniu, że obaj widzą dramat w tym samym świetle.

– Według mnie, że ucieknę się do porównania, następuje pewien moment, kiedy ten człowiek wyrusza na łowy jak dzikie zwierzę albo po prostu jak kot. Obserwował pan polujące koty?

– Często, gdy byłem młody.

– Kot porusza się wtedy zupełnie inaczej. Spręża się w sobie i wszystkie jego zmysły stają się czujne. Ze znacznej odległości zdolny jest pochwycić najmniejszy szmer, najśłabszy zapach. Od tego momentu wietrzy niebezpieczeństwo i stara się je ominąć.

– Rozumiem.

– To tak, jakby nasz człowiek w tej sytuacji był obdarzony podwójnym widzeniem.

– Przypuszczam, że nic panu nie pozwala się domyślać, co wprawia w ruch ten mechanizm?

– Nic. Może to być wspomnienie, sylwetka kobiety w tłumie, przelotna woń perfum, zdanie przypadkiem zasłyszane. Może to być wszystko, łącznie z widokiem noża lub barwą sukienki. Czy wzięto pod uwagę kolor ubrania tych pięciu ofiar? W prasie to przemilczano.

– Kolory były różne, przeważnie stonowane, co utrudnia rozróżnienie ich w nocy.

Kiedy Maigret wrócił do swego gabinetu, zdjął jak wczoraj marynarkę i krawat, rozpiął kołnierzyk koszuli, a że fotel stał w pełnym słońcu, spuścił płócienne story. Potem otworzył drzwi do pokoju inspektorów.

– Jesteś tam, Janvier?

– Jestem, szefie.

- Nic nowego? Żadnych anonimów?
- Tylko listy z donosami na sąsiadów.
- Trzeba je sprawdzić. I dajcie tu Mazeta.

Mazet nie spędził nocy w areszcie śledczym, ale u siebie, opuściwszy Pałac Sprawiedliwości przez tylne wyjście. O ósmej rano powinien był znowu znaleźć się w celi Souricière.

- Mam iść po niego?
- Tak będzie lepiej.
- Nie zakładać mu kajdanków?
- Nie.

Aż tak daleko nie chciał posuwać oszukańczej gry z dziennikarzami. Niech sami wyciągają wnioski z tego, co widzą.

– Halo! Połączcie mnie, proszę, z komisariatem Grandes-Carrières... Z inspektorem Lognon... Halo! Lognon?... Nic nowego tam u was?

– Dziś rano jakiś facet czekał na mnie przed domem i siedł za mną. Teraz stoi naprzeciw komisariatu.

- Nie chowa się?
- Nie. To chyba reporter.
- Niech sprawdzą jego papiery. Reszta jak ustaliliśmy?
- Znalazłem trzy pokoje u przyjaciół. O niczym nie wiedzą. Chce pan ich adresy?
- Nie. Wpadnij do mnie za jakieś trzy kwadransy.

Podobna do wczorajszej scena rozegrała się w korytarzu, kiedy między dwoma inspektorami ukazał się Piotr Mazet, z twarzą zasłoniętą kapeluszem. Fotoreporterzy przystąpili do dzieła. Dziennikarze rzucali pytania, wciąż pozostające bez odpowiedzi. Sprytnej Maguy udało się wytrącić kapelusz z rąk Mazeta, ale w czasie gdy się schylała, żeby go podnieść, przybysz z kolonii zasłaniał sobie twarz obu dłońmi.

Drzwi zamknęły się i gabinet Maigreta przybrał natychmiast wygląd stanowiska dowodzenia.

A ciche manewry trwały nieprzerwanie na spokojnych uliczkach Montmartre'u, gdzie z powodu wakacji sporo sklepów było zamkniętych.

Ponad czterystu ludzi dostało już swoje role do odegrania: jedni, w charakterze czujek, rozlokowali się w hotelach i paru apartamentach prywatnych zapewniających dyskrecję, drudzy objęli posterunki na stacjach metra, koło przystanków autobusowych, w najmniejszych bistrach i nocnych restauracjach.

A żeby nie wyglądało to na inwazję, przeprowadzano akcję etapami.

– Kobiety z oddziałów pomocniczych otrzymywały przez telefon szczegółowe dyrektywy i – tak jak w sztabie głównym – marszrutę każdej z nich oznaczano na

mapach.

Dwudziestu inspektorów, spośród tych najrzadziej ukazujących się publicznie, wynajęło nie tylko w Paryżu, ale i na przedmieściach aż do Wersalu, samochody z nic nie mówiącym oznakowaniem – we właściwym czasie miały one parkować w punktach strategicznych, gdzie niczym nie różniły się od innych wozów.

– Zamów piwo, Lucas.

– Kanapki?

– Tak będzie lepiej.

Tak będzie lepiej nie tylko dla przekonania dziennikarzy o nowym przesłuchaniu, ale i dlatego, że wszyscy byli zajęci i nie mieli czasu na drugie śniadanie.

Nadszedł z kolei Lognon, wciąż parujący w czerwonym krawacie i słomkowym kapeluszu. Patrząc na niego, zadawano sobie zrazu pytanie, co się w nim zmieniło, i ze zdziwieniem stwierdzano, do jakiego stopnia może kogoś przeobrazić barwa krawatu. Lognon wyglądał prawie na człowieka wesołego.

– Ten facet łązi za tobą?

– Tak. Jest teraz w korytarzu. To faktycznie dziennikarz.

– Kręcił się przy komisariacie?

– W samym komisariacie siedzi już taki jeden. Pierwsza gazeta popołudniowa zamieściła wzmiankę o przesłuchaniu. Powtarzała wiadomości z wydania porannego, dodając, że na Quai des Orfèvres panuje ciągle stan rozgorączkowania, ale podejrzanego otacza najściślejsza tajemnica.

„Gdyby policja mogła, nałożyłaby mu pewnie żelazną maskę” – pisano między innymi.

Mazet był tym rozbawiony. Pomagał ludziom, załatwiał telefony, stawiał niebieskie lub czerwone krzyżyki na planie miasta, szczęśliwy, że znów oddycha atmosferą Quai des Orfèvres, gdzie już czuł się jak w domu.

Nastrój odmienił się nieco, gdy kelner z „Brasserie Dauphine” zapukał do drzwi – albowiem i przed nim należało mieć się na baczności. W chwilę później zabrano się do piwa i kanapek.

Popołudniówki nie opublikowały żadnego listu od mordercy, najwidoczniej nie miał on zamiaru zwracać się do prasy.

– Odsapnę chwilkę, chłopcy. Wieczorem muszę być wypoczęty i w dobrej formie.

W niewielkim pustym pomieszczeniu biurowym za pokojem inspektorów Maigret rozsiadł się w fotelu i niemal natychmiast zasnął.

Około trzeciej odprawił Mazeta do Souricière, a Janvierowi i Lucasowi powiedział, żeby wypoczęli na zmianę. Lapointe tymczasem, ubrany w niebieski kombinezon, objeżdżał ulice sektora Grandes-Carrières siedząc przy kierownicy trzykołowego wózka. Z kaskiem zsuniętym na ucho, z papierosem przyklejonym do

dolnej wargi, wyglądał na osiemnastolatka; raz po raz telefonował do kwatery głównej z jakiegoś bistra wypijając przy okazji szklaneczkę blanc-vichy.

W miarę upływu czasu wszyscy zaczęli się coraz bardziej denerwować, nawet Maigret tracił po trosze kontenans.

Nic nie wskazywało na to, że cokolwiek zdarzy się tego wieczoru. Jeśli morderca zdecydowany jest znowu zabić, żeby się sprawdzić, może to zrobić następnego wieczoru, pojutrze, za osiem lub dziesięć dni – a nie sposób tak długo utrzymywać alarmu wymagającego zaangażowania tylu sił.

Nie sposób też było strzec przez tydzień sekretu znanego już tylu ludziom.

Jeśli jednak morderca zdecyduje się działać natychmiast?

Maigret bezustannie powracał myślą do rozmowy z profesorem Tissot i rozważał niektóre jej fragmenty.

W jakim momencie ten człowiek ulegnie impulsowi? Teraz, podczas montowania zasadki, jest on dla otoczenia osobnikiem jak każdy inny. Ktoś z nim rozmawia, ktoś zapewne obsługuje go przy stole, ściska mu rękę. On także rozmawia, uśmiecha się, może wybucha śmiechem.

Czy mechanizm już zaskoczył? Czy stało się to rankiem, gdy morderca czytał gazety?

A może raczej powiedział sobie, że – skoro ujęto winowajcę – policja zaprzestanie dalszych poszukiwań i wobec tego nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo?

Skąd pewność, że Tissot i komisarz nie popełnili błędu, że właściwie przewidzieli reakcję człowieka, którego profesor nazwał „pacjentem”?

Dotychczas zabijał tylko wieczorami, czekał na zapadnięcie zmroku. Ale już teraz za dnia mnóstwo ulic paryskich wyludnia się z powodu upału i wakacji, może więc upłynąć sporo czasu, zanim ukaże się jakiś przechodzień.

Maigret przypomniał sobie ulice w porze letniej sjezty na południu Francji, zamknięte okiennice domów, ospałe miasteczka i nawet miasta przytłoczone bezlitosnym skwarem.

Do dzisiaj istnieją na Montmartrze ulice prawie niczym nie różniące się od tamtych.

Obecnie policja oparła się na danych wynikających z rekonstrukcji. Wszędzie, gdzie popełniono zbrodnię, topografia ułatwiała przestępcy szybką ucieczkę. W czasie krótszym nocą, oczywiście, niż za dnia. Ale nawet za dnia przy sprzyjających warunkach mógł zabić, pociąć ubranie ofiary i zniknąć w ciągu niespełna dwóch minut.

Dlaczego zresztą miałyby się to zdarzyć na ulicy? Dlaczego nie miałyby zapukać do drzwi mieszkania, gdzie, jak wiedział, znajduje się samotna kobieta, i postąpić tak

jak w miejscach publicznych?

Tak, ale maniacy i większość kryminalistów, a nawet złodziei stosuje *niemal* zawsze tę samą technikę i powtarzają się w najdrobniejszych szczegółach.

Do dziewiątej mniej więcej będzie widno, całkiem ciemno zrobi się dopiero o wpół do dziesiątej i jest nadzieja, że księżyc, niezbyt jasno świecący w trzeciej kwadrze, będzie wskutek upału tak zamglony jak wczoraj.

Wszystkie te okoliczności miały swoje znaczenie.

– Są jeszcze w korytarzu?

– Tylko Baron.

Ci z korytarza urządzali się nieraz tak, że jeden stał na warcie, by w razie czego alarmować resztę.

– O szóstej każdy z was wyjdzie stąd jak zwykle. Zostanie tylko Lucas, do którego około ósmej dołączy Torrence.

Maigret poszedł na aperitif do „Brasserie Dauphine”; towarzyszyli mu Janvier, Lognon i Mauvoisin.

O siódmej wrócił do domu na kolację; przez otwarte okno widział bulwar Richard-Renoir, spokojniejszy niż w jakiegokolwiek innej porze roku.

– Ale się zgrzałeś! – zauważyła pani Maigret przypatrując się koszuli męża. – Musisz się przebrać, jeśli jeszcze wychodzisz.

– Wychodzę.

– Nie przyznał się...?

Wolał nie odpowiadać, bo nie lubił jej kłamać.

– Późno wrócisz?

– Najprawdopodobniej.

– Ciągłe się spodziewasz, że ta sprawa zakończy się i będziemy mogli wyjechać na wakacje?

Podczas zimy planowali pobyt w Bretanii, w Beuzek-Conq, w pobliżu Concarneau, ale jak prawie co roku, urlop trzeba było odkładać z miesiąca na miesiąc.

– Możliwe – westchnął Maigret.

Bo jeśli nie, znaczyłoby to, że pomysł spalił na panewce: morderca wymknął się przez oka sieci albo nie zareagował zgodnie z przewidywaniem jego i profesora Tissot. Oznaczałoby to również nowe ofiary, zniecierpliwienie społeczeństwa i prasy, ironię lub furię sędziego Comélieu, jak mu się to nazbyt często przytrafiało, interpelacje w parlamencie i konieczność tłumaczenia się przed wysoką władzą.

Przede wszystkim jednak chodziło tu o kobiety niskie i tęgawe, robiące wrażenie dobrych gospodyń, które mają coś do załatwienia w swojej dzielnicy albo udają się w odwiedzinę do sąsiadów.

– Wyglądasz na zmęczonego.

Nie spieszyło mu się z wyjściem. Po kolacji dreptał po mieszkaniu, palił fajkę, wahał się, czyby nie tyknąć kieliszeczka nalewki z tarniny, zatrzymywał się od czasu do czasu przed oknem i w końcu oparł łokcie na parapecie.

Pani Maigret starała się mężowi nie zawadzać. Dopiero kiedy zaczął szukać marynarki, przyniosła świeżą koszulę i pomogła mu ją wciągnąć. Usiłował zachować się dyskretnie, ale ona i tak dostrzegła kątem oka, jak otwiera jedną z szuflad, wyjmując z niej pistolet i wsuwa go do kieszeni.

Rzadko zabierał z sobą broń. Nie chciał zabijać, nawet kogoś tak niebezpiecznego jak ten morderca. Wszystkim swoim współpracownikom kazał jednak uzbroić się i *za wszelką cenę* ratować napastowane kobiety.

Nie wracał do biura. O dziewiątej na rogu bulwaru Woltera oczekiwał go samochód nie należący do policji. Za kierownicą w mundurze taksówkarza siedział policjant z osiemnastego komisariatu.

– Jedziemy, szefie?

Maigret usadowił się na tylnym siedzeniu pogrążonym w półmroku. Samochód przypominał teraz jeden z tych, jakie wynajmują na godziny turyści koło Madeleine i Opéry.

– Plac Clichy?

– Tak.

W czasie jazdy nie wypowiedział ani słowa; gdy byli już na placu Clichy, poprzestał na burknięciu:

– Wjedź w ulicę Caulaincourt, nie za szybko, jakbyś odczytywał numery domów.

W okolicy bulwarów ulice były dość ożywione; tu i tam w oknach widziało się ludzi spragnionych świeżego powietrza; na tarasach kawiarenek siedziało po parę osób mniej lub bardziej roznegliżowanych; w większości restauracji gości obsługiwano na zewnątrz.

Wydawało się rzeczą niemożliwą, by ktoś mógł popełnić zbrodnię w takich warunkach – a przecież warunki te były niemal identyczne w momencie, gdy ostatnia ofiara, Georgette Lecoin, została zabita na ulicy Tholozé, najwyżej pięćdziesiąt metrów od sali tańca, której czerwony neon oświetlał chodnik.

Ktoś, kto doskonale znał dzielnicę, wiedział jednak, że tuż przy ruchliwych arteriach znajduje się sto pustych uliczek, sto zaułków i zakamarków, gdzie można prawie bez ryzyka dokonać napaści.

Dwie minuty. Obliczono, że morderca potrzebował maksimum dwóch minut, a jeśli był sprawny, to jeszcze mniej.

Co nim powodowało, że po zbrodni przecinał nożem ubranie ofiary?

Nie dotykał jej, nie obnażał narządów płciowych, jak w innych notowanych wypadkach. Rozdzierał materiał gwałtownymi ciosami noża w ataku złości, jak

dziecko, kiedy rozszarpuje lalkę albo depta nogami zabawkę.

Tissot i o tym mówił, ale z pewną rezerwą. Wyczuwało się, że skłonny jest przyjąć niektóre teorie Freuda i jego uczniów, ale chyba uważał to za zbyt łatwe rozwiązanie.

– Należałoby znać jego przeszłość, okres dzieciństwa, odnaleźć w niej inicjujący szok, o którym może on sam nie pamiętać...

Maigreta, ilekroć myślał podobnie o mordercy, ogarniała gorączkowa niecierpliwość. Pragnął jak najszybciej wyobrazić sobie twarz, rysy, sylwetkę tego człowieka zamiast widzieć w nim nieokreśloną istotę o zatartych konturach, zwaną przez jednych zabójcą, przez innych szaleńcem lub potworem, a przez profesora Tissot – któremu wyrwało się to mimo woli – pacjentem.

Do wściekłości doprowadzała Maigreta własna bezsilność. Rzucono mu przecież niemal osobiste wyzwanie.

Chciał znaleźć się twarzą w twarz z tym człowiekiem, obojętne gdzie, spojrzeć mu prosto w oczy, rozkazać: „A teraz mów!”

Chciał wiedzieć. Wyczekiwanie napawało go lękiem, nie pozwalało mu skupić się na sprawach konkretnych.

Machinalnie kontrolował ludzi na posterunkach, jakie im wyznaczył. Nie znał wszystkich. Wielu nie podlegało mu służbowo. Niemniej jednak mógłby wymienić nazwiska tych, których postaci dostrzegał za firankami okien; odgadywał nieomylnie, która z zadyszanych kobiet biegnących, zdawałoby się, bez celu i która z kobiet spacerujących z głośnym stukotem zbyt wysokich obcasów należy do grupy ochotniczek.

Od lutego, od pierwszej zbrodni, morderca stopniowo opóźniał czas napaści – od godziny ósmej do dziewiątej czterdzieści pięć. O której stanie się to obecnie, gdy dni są krótsze, a zmierzcha dużo wcześniej?

Z minuty na minutę można było oczekiwać krzyku przechodnia potykającego się o ciało leżące na trotuarze. Przeważnie tak właśnie znajdowano ofiary, niemal zawsze w parę minut po ich zgonie. W jednym jedynym przypadku po kwadransie – co stwierdził lekarz sądowy.

Samochód minął ulicę Lamarck; w tym sektorze nie było dotychczas żadnej napaści.

– Gdzie teraz, szefie?

– Przed siebie i skręć w ulicę des Abbesses.

Gdyby wziął radiowóz, mógłby utrzymywać łączność z niektórymi współpracownikami – ale to by się zanadto rzucało w oczy.

Nie wiadomo, czy przed każdym zamachem ten człowiek nie obserwuje godzinami ruchu w dzielnicy.

Na ogół nietrudno stwierdzić, do jakiej kategorii należy morderca; nawet przy całkowitym braku dowodów stwarzamy sobie pewne pojęcie, kim jest i w jakim obraca się środowisku.

„Boże, spraw, by dziś wieczór nie było ofiar!”

Przypominało to modlitwę, którą odmawiał kiedyś przed snem w dzieciństwie. Teraz nawet sobie z tego nie zdał sprawy.

– Widział pan, szefie?

– Co?

– Pijaka przy latarni gazowej.

– Któż to taki?

– Mój kumpel, Dutilleux. Uwielbia przebieranki, zwłaszcza lubi udawać pijaka. Dziewiąta czterdzieści pięć: nic się nie wydarzyło.

– Zatrzymaj się przed „Brasserie Pigalle”.

Maigret wypił po drodze małe piwo i zamknął się w kabinie telefonicznej, żeby połączyć się z wydziałem kryminalnym. Odpowiedział mu Lucas.

– Nic?

– Jeszcze nic. Tylko jakaś prostytutka skarży się, że ją pobił zagraniczny marynarz.

– Jest z tobą Torrence?

– Tak.

– A Baron?

– Chyba poszedł się przespać.

Godzina, w której dokonano ostatniej zbrodni, już minęła. Czyżby temu człowiekowi bardziej zależało na godzinie niż na ciemności? Albo może rzekome aresztowanie nie wywarło nań żadnego wrażenia?

Wracając do samochodu Maigret uśmiechał się ironicznie i tę ironię adresował do siebie. Kto wie, może ten, którego ściga na ulicach Montmartre’u, spędza obecnie wakacje na plażach Calvadosu lub na wsi w pensjonacie rodzinnym?

Maigret stracił nagle odwagę, rzecz by można, z sekundy na sekundę. Cały wysiłek jego i jego ludzi wydał mu się daremny, wręcz śmieszny.

Na czym opierało się owo wyreżyserowane przedsięwzięcie, pochłaniające tyle czasu? Zgoła na niczym. Na czymś w rodzaju intuicji, która olśniła go po sutej kolacji w trakcie dyskusji z profesorem Tissot w zacisznym salonie przy ulicy Picpus.

Czy sam profesor Tissot nie byłby przestraszony, gdyby dowiedział się, ile wagi przypisał komisarz tej nic nie znaczącej rozmowie?

A jeśli zbrodniarz wcale nie powoduje się dumą, potrzebą afirmacji?

I nawet słowa, jakie tamtego wieczoru wypowiadał w przekonaniu, że dokonuje odkrycia, wzbudziły w nim niesmak.

Za dużo o tym wszystkim myślał. Za długo roztrząsał problem. W ten problem przestał już wierzyć i niemalże zwątpił w istnienie zabójcy.

– Którędy szefie?

– Którędy chcesz.

Kierowca obrócił się ku niemu i zdziwienie w jego oczach uświadomiło Maigretowi własny brak odwagi; poczuł się zawstydzony. Nie miał prawa tracić wiary w obecności współpracowników.

– Jedź aż do końca ulicy Lepic.

Gdy mijali „Moulin de la Galette”, Maigret przyjrzał się chodnikowi: dokładnie w tym miejscu znaleziono położną Józefinę Simmer. Oto rzeczywistość. Pięć zbrodni, a zbrodniarz wciąż na wolności, gotów do zadania następnego ciosu.

Czy ta kobieta, mniej więcej czterdziestoletnia, schodząca drobnym kroczkiem ulicą w dół z pieskiem na smyczy, nie jest przypadkiem jedną z ochotniczek? Ona i te inne na sąsiednich ulicach w każdej chwili ryzykują życie. Zgłosiły się dobrowolnie. Ale to on, Maigret, powierzył im tę misję. Do niego więc należy ich obrona.

Czy aby wszystkie jego dyspozycje wykonano?

Dziś po południu uznał plan na papierze za doskonały. Każdy odcinek, uważany za niebezpieczny, był pod kontrolą. Policjantki miały się na baczności. Niewidzialni obrońcy mieli w razie czego interweniować natychmiast.

Tylko czy żadnego z zakątków nie pominięto? Czy żaden z dyżurujących nie zapomni bodaj na chwilę o czujności?

Po zwątpieniu we własne siły Maigret wpadł w panikę i gdyby to było jeszcze wykonalne, zastopowałby całą akcję.

Czy zresztą eksperyment nie trwał już dostatecznie długo? Dobiegała dziesiąta. Nic się nie działo. I nic się nie stanie, i tak chyba będzie lepiej.

Plac du Tertre przywodził na myśl festyn ludowy – tłumy, brak wolnych stolików; roznoszono różowe wino, zewsząd dolatywały dźwięki muzyki, połykacz ognia popisywał się swoją sztuką, jakiś skrzypek, nie zważając na hałas, grał uparcie starą melodyjkę z 1900 roku. A sto metrów dalej, na opustoszałych uliczkach morderca mógł działać bezpiecznie.

– Zawracaj!

– Tą samą trasą?

Rozsądniej byłoby trzymać się utartych metod, nawet jeśli opóźniały efekt, nawet jeśli od pół roku nie dawały rezultatu.

– Jedź w stronę placu Constantin-Pecqueur.

– Przez aleję Junot?

– Jak wolisz.

Kilka młodych par wolnym krokiem spacerowało pod rękę; w świetle gazowej

latarni Maigret zobaczył chłopca i dziewczynę, którzy całowali się, objęci, z przymkniętymi oczami.

Na placu Constantin-Pecqueur dwie kawiarnie były jeszcze czynne; w oknach Lognona nie paliło się światło. Lognon, który najlepiej znał dzielnicę, przeszukiwał ją na piechotę niczym pies myśliwski tropiący zwierzę w zaroślach, i Maigret wyobraził go sobie jako spaniela, zziąjanego, z wywieszonym ozorem.

– Która godzina?

– Dziesięć po dziesiątej, dokładnie dziewięć...

– Psst!

Nadstawili uszu, mieli wrażenie, że słyszą tupot biegnących ludzi nieco powyżej alei Junot, którą właśnie przejechali. Przedtem jednak słyszeli gwizd albo dwa gwizdy.

– Gdzie to może być?

– Nie wiem.

Trudno było zorientować się, skąd dochodzi ów hałas.

Zanim ruszyli dalej, o ich samochód otarł się mały czarny wóz Policji Kryminalnej – jechał na pełnym gazie w stronę alei Junot.

– Jedź za nim.

Inne parkujące tu pojazdy, puste, jak się przed chwilą zdawało, skierowały się nagle w tę samą stronę; i znów rozległy się dwa gwizdki, trochę bliżej tym razem, bo samochód Maigreta przejechał już jakieś pół kilometra.

Odezwały się teraz głosy mężczyzn i kobiet, czyjeś kroki dudniły po trotuarze, ktoś zbiegał po kamiennych schodach.

Nareszcie coś się działo.

Rozdział 4

Randka ochotniczki

Na źle oświetlonych ulicach panował początkowo taki zamęt, że nie sposób było połapać się, o co chodzi. Dopiero znacznie później, po zebraniu wszystkich świadectw, mniej więcej z sobą zgodnych, odtworzono przebieg wydarzeń.

Nawet kierowca Maigreta, zjeżdżający pędem po stromych uliczkach, które nocą upodobniały się do dekoracji teatralnych, nie bardzo wiedział, gdzie się znajdują, tyle tylko, że w pobliżu placu du Tertre, bo docierały stamtąd strzępy muzyki.

Zamieszanie wzmagał ponadto fakt, że ruch odbywał się w dwóch kierunkach. Samochody i galopujący tłum – niewątpliwie w większości policjantów – dążyły do wspólnego celu: gdzieś w pobliże ulicy Norvins, podczas gdy pojedyncze grupki ludzi – ktoś na rowerze bez światła, dwa, potem trzy samochody – zmierzały w kierunku odwrotnym.

– Tutaj! – rozległ się czyjś krzyk. – Widziałem, jak przechodził...

Ścigano jakiegoś człowieka, może jednego z tych, których minął ich wóz; Maigretowi zdawało się, że w niskim mężczyźnie, który w biegu zgubił kapelusz, poznaje inspektora Pechowca, ale nie był tego zbyt pewny.

Myślał tylko o tym, czy zbrodniarz dopiął swego, czy zabił swoją ofiarę. Toteż gdy w końcu zobaczył dziesięcioosobową gromadkę na zacięzionym trotuarze, przede wszystkim spojrzął z niepokojem na ziemię. Nie odniósł wrażenia, że ludzie pochylają się nad ciałem. Stali gestykułując, a już zza rogu przecznicy, nie wiadomo skąd, pojawił się mundurowy policjant, który usiłował zatrzymać gapiów napływających z placu du Tertre.

Kiedy Maigret wysiadał z samochodu, z ciemności wynurzyła się jakaś postać.

– To pan, szefie?

I światło latarki omiotło twarz komisarza, jak gdyby nikt tu nie ufał nikomu.

– Nie jest ranna.

Nie od razu poznał mówiącego, a przecież był to inspektor z jego brygady.

– Co się stało?

– Prawdę powiedziawszy, nie wiem. Chyba mu się udało zwiać. Teraz go szukają.

Dziwiłbym się, gdyby czmychnął. Cała dzielnica obstawiona.

Maigret dotarł wreszcie do samego centrum wrzenia: zobaczył dziewczynę w jasnoniebieskiej sukience i ta sukienka coś mu przypomniła.

Oddychała gwałtownie, ale starała się uśmiechać drżącym uśmiechem, jak ktoś, kto wyszedł cało z poważnych opresji. Poznała Maigreta.

– Przepraszam, że nie potrafiłam go obezwładnić – rzekła. – Nie mogę zrozumieć, w jaki sposób mi się wyśliznął.

Nie pamiętała już, komu opowiadała początek swojej przygody.

– O, proszę! Został mi w ręku ten guzik od jego marynarki.

Podawała komisarzowi niewielki guzik, gładki i ciemny, z kawałeczkiem zwisającej nitki i drobnym kłaczkiem tkaniny.

– Zaatakował panią?

– Akurat kiedy mijałam tę alejkę.

Raczej korytarz, zaułek pograżony w zupełnej ciemności, bez bramy, otwarty od ulicy.

– Miałam się na baczości. Spojrzałam w tę alejkę i jakbym coś przeczuła; musiałam zebrać się w sobie, żeby iść dalej nie przyspieszając kroku.

Maigret zdawał się ją poznawać, w każdym razie poznał sukienkę. Czyżby nie tę dziewczynę zauważył przed kilkoma minutami, całującą się z chłopcem pod latarnią?

– Przepuścił mnie... i zaraz potem coś się za mną poruszyło, wyczułam jakby prąd powietrza za plecami i czyjaś ręka chwyciła mnie za gardło i wtedy, nie mam pojęcia jak, wykonałam chwyt dżudo.

Wiadomość o napaści poczyniła spustoszenie na placu du Tertre; większość amatorów życia nocnego porzuciła stoliki z obrusami w czerwone kwadraty, weneckie latarnie i karafki z różowym winem – fala ciekawskich spływała w dół i mundurowy policjant z trudem sobie radził. Z ulicy Caulaincourt nadjechał wóz policyjny. Usiłowano rozproszyć tłum. Ilu inspektorów tropiło zbrodniarza na sąsiednich krętych uliczkach, w zaułkach i licznych, niełatwych do wykrycia zakamarkach?

Maigret miał wrażenie, że przynajmniej pod tym względem partia jest ostatecznie przegrana. Raz jeszcze morderca wykorzystał swój iście genialny pomysł: przystąpił do działania ledwie sto metrów od zatłoczonego placu du Tertre, świadom, że natychmiast po alarmie powstanie niesamowity rozgardiasz.

O ile Maigret dobrze pamiętał – a zabrakło mu czasu na sprawdzenie planu bitwy – w tym sektorze dowodził Mauvoisin, który teraz powinien był kierować całą kampanią. Na próżno jednak szukał go wzrokiem.

Obecność komisarza nie była tutaj nieodzowna. Reszta będzie raczej kwestią szczęścia.

– Proszę zająć miejsce w moim wozie – rzekł do dziewczyny.

Wiedział już, że jest policjantką ze służby pomocniczej i lekko irytował go fakt, że widział ją nieco wcześniej w ramionach chłopca.

– Jak się pani nazywa?

– Marta Jusserand.

– Dwadzieścia dwa lata?

– Dwadzieścia pięć.

Była muskularna, ale prawie tej samej tuszy co pięć ofiar mordercy.

– Na Quai des Orfèvres – rzucił kierowcy.

Wolał być tam, gdzie napływały wszystkie informacje, niż tkwić w centrum nieskoordynowanych działań.

Trochę dalej spostrzegł inspektora Mauvoisin, który dawał polecenia swoim ludziom.

– Wracam do biura! – krzyknął do niego. – Meldujcie na bieżąco o wszystkim!

Nadjechał radiowóz, dwa inne krążą zapewne w pobliżu, zawsze zdążą z odsieczą.

– Bała się pani? – spytał swoją towarzyszkę, kiedy znaleźli się na ulicach, gdzie panował normalny ruch.

Na placu Clichy ludzie tłumnie wychodzili z kina. Kafejki i bary były oświetlone, co napawało spokojem; goście siedzieli na tarasach.

– W pierwszym momencie nie tak bardzo, ale zaraz potem. Myślałam, że nogi ugną się pode mną.

– Widziała go pani?

– Przez chwilę jego twarz, tuż koło mojej, ale nie jestem pewna, czy go poznam. Trzy lata byłam instruktorką kultury fizycznej, zanim zdałam egzamin na policjantkę. Jestem bardzo silna, wie pan. Uprawiam dżudo jak każda w naszej służbie.

– Nie krzyczała pani?

– Już sama nie wiem...

Od inspektora stojącego przy oknie pobliskiej kamienicy dowiedziano się potem, że wzywała pomocy dopiero po ucieczce napastnika.

– Miał ciemne ubranie. Jasny szatyn, dość młody.

– W jakim wieku według pani?

– Nie wiem. Byłam zanadto wzburzona. Wiedziałam, co trzeba zrobić w razie ataku, ale kiedy się to zdarzyło, wszystko mi z głowy wyleciało. Myślałam o nożu, który trzymał w ręku.

– Widziała pani ten nóż?

Milczała przez kilka sekund.

– Teraz sama siebie się pytam, czy go widziałam, czy też zdawało mi się, że widzę, bo wiedziałam, że musi mieć nóż. Co do oczu, to mogę przysiąc, że są

niebieskie albo szare. Wyglądał, jakby cierpiał. Udał mi się chwyt za przedramię i pewnie to go bardzo zabolalo. Brakowało doprawdy paru sekund, a rozložylabym go na trotuarze.

– Zdołal się wyrwać?

– Wprost nie do wiary, ale wyśliznal mi się z rąk; zastanawiam się, jak to możliwe... Złapałam go za guzik i tak zostałam z tym guzikiem w ręku, a on oddalal się biegiem. Wszystko odbyło się niezwykle szybko. Mnie, oczywiście, zdawalo się, że to trwa długo.

– Nie chce pani napić się czegoś na wzmocnienie?

– Nigdy nie piję. Ale chętnie wypaliłabym papierosa.

– Proszę zapalić.

– Nie wzięłam ze sobą... Miesiąc temu postanowiłam rzucić palenie.

Maigret kazał zatrzymać samochód przed najbliższą trafiką.

– Jaki gatunek?

– Amerykańskie.

Po raz pierwszy w życiu Maigret miał okazję kupować amerykańskie papierosy.

Na Quai des Orfèvres, dokąd ją wprowadził puszczając przodem, zastał Lucasa i Torrence'a; obaj siedzieli przy telefonach i obaj odpowiedzieli grymasem na pytający gest Maigreta.

Więc jeszcze go nie schwytano.

– Niech pani siada.

– Czuję się teraz zupełnie dobrze. Szkoda, że zapaliłam. Tym gorzej dla mnie.

Przez parę dni będzie się trudniej odzwyczajać.

Lucas skończył właśnie rozmowę i Maigret podyktował mu te szczegóły rysopisu, które otrzymał od Marty.

– Podaj je do ogólnej wiadomości nie pomijając dworców kolejowych. – I zwrócił się do dziewczyny: – Wzrost?

– Nie wyższy ode mnie.

A zatem mężczyzna raczej niski.

– Szczupły?

– W każdym razie nie tęgi.

– Lat dwadzieścia? Trzydzieści? Czterdzieści?

Mówiła, że jest dość młody, ale to określenie może mieć różny sens.

– Powiedziabym, że trzydzieści.

– Nie zapamiętała pani więcej szczegółów?

– Nie.

– Był w krawacie?

– Przypuszczam, że tak.

– Wyglądał na włóczęgę, robotnika, urzędnika?

Usiłowała pomóc komisarzowi, jej wspomnienia jednak były fragmentaryczne.

– Myślę, że w innych okolicznościach nie zauważyłabym go na ulicy. Jest z lepszej sfery, jak to się mówi.

Nagle podniosła do góry rękę niczym w szkole – nie tak znów dawno przestała być uczennicą.

– Miał pierścionek na palcu!

– Pierścionek czy obrączkę?

– Chwileczkę... – Zamknęła oczy, starała się odtworzyć w wyobraźni pozycję, jaką miała podczas walki. – Najpierw poczułam to pod moimi palcami, potem, kiedy zastosowałam dżudo, jego ręka znalazła się blisko mojej twarzy... Sygnet byłby grubszy... I z kamieniem... Na pewno była to obrączka...

– Słyszałeś, Lucas?

– Słyszałem, szefie.

– Włosy długie czy krótkie?

– Nie, nie krótkie. Opadły mu na jedno ucho... jeszcze to widzę... kiedy był zgięty w pół, z głową przy chodniku.

– Notujesz?

– Tak.

– Przejdźmy do mego gabinetu.

Chociaż noc była dość chłodna, przynajmniej w porównaniu z dniem, Maigret odruchowo zdjął marynarkę.

– Proszę usiąść. Na pewno nie chce się pani niczego napić?

– Na pewno.

– Przed tą napaścią nie miała pani z nikim spotkania?

Zaczerwieniła się aż po korzonki włosów. Miała mięśnie sportsmenki, a przy tym bardzo świeżą i delikatną skórę.

– Tak.

– Proszę mi wszystko powiedzieć.

– Tym gorzej dla mnie, jeśli postąpiłam niesłusznie. Jestem zaręczona.

– Co robi pani narzeczony?

– Kończy ostatni rok prawa. Ma zamiar również wstąpić do policji...

Po studiach... inaczej niż Maigret, który zaczynał karierę jako zwykły posterunkowy.

– Widziała się z nim pani dziś wieczorem?

– Tak.

– Mówiła mu pani, na co się zanosi?

– Nie, prosiłam tylko, żeby był wieczorem na placu du Tertre.

– Ze strachu?

– Nie, chciałam go mieć w pobliżu.

– I umówiła się z nim pani na późniejsze spotkanie?

Zażenowana, przestępowała z nogi na nogę i zerkając na Maigreta próbowała odgadnąć, czy jest zagniewany.

– Wyznam panu całą prawdę, panie komisarzu. Tym gorzej dla mnie, jeśli się pomyliłam. W instrukcjach polecono nam zachowywać się całkiem naturalnie, jak byle kobieta, byle dziewczyna, kiedy wychodzi na miasto wieczorem. A wieczorem często widzi się pary, które całują się na pożegnanie, zanim każde pójdzie w swoją stronę.

– I dlatego ściągnęła tam pani narzeczonego?

– Tak, przysięgam. Wyzaczyłam mu randkę na dziesiątą. Wszyscy sądzili, że coś się do tego czasu stanie. Więc nic nie ryzykowałam, bo po dziesiątej mogłam być już wolna.

Maigret patrzył na nią uważnie.

– A nie przyszło pani do głowy, że wywoła pani kryzys u mordercy, gdy zobaczy panią w objęciach mężczyzny i potem oddalającą się samotnie?

– Nie wiem. Myślę, że to tylko przypadek. Źle zrobiłam?

Wolał nie odpowiadać. Odwieczny to dylemat między dyscypliną a inicjatywą. Czyż i on tej nocy i w ostatnich dniach nie sprzeniewierzał się poważnie dyscyplinie?

– Niech się pani nie spieszy. Proszę usiąść przy moim biurku i tak jak w klasie napisać mi wypracowanie na temat tego, co wydarzyło się dziś wieczorem. Postara się pani przypomnieć sobie najmniejsze szczegóły, nawet te, które mogą się wydawać nieważne.

Wiedział z doświadczenia, że niejednokrotnie dawało to dobre wyniki.

– Mogę wziąć pana długopis?

– Jak pani sobie życzy. I proszę mnie zawołać, kiedy pani skończy.

Wrócił do pokoju inspektorów. Lucas i Torrence jeszcze dyżurowali przy telefonach. W małym ciasnym pomieszczeniu na końcu korytarza radiotelegrafista przyjmował meldunki radiowozów, wypisywał je na kartkach papieru i odsyłał przez gońca biurowego.

Na Montmartrze zdołano z wolna rozpędzić tłumy, ale – jak należało się spodziewać – zbiegli się tam zaalarmowani dziennikarze.

Policja otoczyła trzy kompleksy budynków, potem cztery i wreszcie cały kwartał, bo w miarę upływu czasu ścigany człowiek, czując coraz bliższe zagrożenie, musiał szukać kryjówki najdalej od miejsca zbrodni.

Przetrzęsnięto hotele i pokoje umeblowane, budzono lokatorów, żeby sprawdzić ich dowody osobiste i zadać im kilka pobieżnych pytań.

Było rzeczą wielce prawdopodobną, że morderca wymknął się już z sieci i to zaraz po pierwszych gwizdkach, kiedy ludzie dopiero nadbiegali z placu du Tertre.

Istniało także inne przypuszczenie: morderca mógł mieszkać w tej dzielnicy, niedaleko miejsca nieudanej napaści, i po prostu wrócił do domu.

Maigret bawił się machinalnie guzikiem, który oddała mu Marta Jusserand; guzik był zwyczajny, bez firmowego znaku, ciemnoszary z żyłkami w kolorze niebieskim; został wyrwany razem z kawałeczkiem grubej krawieckiej nici i paroma mikroskopijnymi strzępkami materiału.

– Zadzwoń do Moersa, żeby przyszedł.

– Tu czy do laboratorium?

– Tutaj.

Praca w policji nauczyła go, że jedna godzina stracona na pewnym etapie śledztwa może dać tydzień przewagi kryminaliście.

– Lognon chce z panem mówić, szefie.

– Gdzie jest?

– W jakiejś kawiarni na Montmartrze.

– Halo, Lognon?

– Tak, szefie. Polowanie trwa. Otoczyli znaczną część dzielnicy. Ale jestem prawie pewny, że widziałem, jak pędził po schodach na placu Constantin-Pecqueur, akurat naprzeciwko mojego mieszkania.

– Nie mogłeś go dogonić?

– Nie. Biegłem co sił, ale on jest szybszy ode mnie.

– Nie strzelałeś?

Byłoby to zresztą zgodne z rozkazem: strzelać do wyraźnego celu, mierząc, o ile to możliwe, w nogi, ale nie narażając na niebezpieczeństwo przechodniów.

– Nie odważyłem się, bo jakiś stary pijaczyna spał na pierwszym stopniu schodów i bałem się ryzykować. Potem było za późno. Rozpłynął się w ciemności, jakby wszedł w mur. Przeczesałem teren metr po metrze. Cały czas miałem uczucie, że jest niedaleko, że oczyma śledzi każdy mój ruch.

– To wszystko?

– Tak. Nadeszli koledzy i zorganizowaliśmy obławę.

– Bez skutku?

– Tyle, że mniej więcej w tym czasie jakiś facet wszedł do baru na ulicy Caulaincourt, gdzie grano w belotkę. Nie zatrzymał się przy ladzie, szedł prosto do kabiny telefonicznej. Musiał mieć żetony. Rozmawiał z kimś i wyszedł tak, jak przyszedł, bez słowa, nie rzuciwszy okiem na barmana ani na graczy. Przez to właśnie zwrócił na siebie ich uwagę. Nikt tam nic nie wiedział o napaści.

– Co jeszcze?

– Blondyn, dość młody, szczupły, bez kapelusza.

– Ubranie?

– Ciemne. Myślę, że może kogoś wzywał, żeby podjechał po niego samochodem w umówione miejsce. Nie wpadło nam do głowy zatrzymywać te wozy, w których siedziała więcej niż jedna osoba.

Istotnie byłby to nie znany w kryminalistyce fakt, że maniak tego typu nie działa w pojedynkę.

– Dziękuję, stary.

– Zostaję tutaj. Nie przerywamy poszukiwań.

– Tyle tylko mamy do zrobienia.

Przypuszczalnie zwykły zbieg okoliczności: każdy może wejść do baru, by zatelefonować, a nie mieć ochoty lub czasu na konsumpcję.

Mimo wszystko niepokoiło to Maigreta. Nie mógł zapomnieć o obrączce, o której mówiła mu młoda policjantka.

Czyżby ten człowiek, usiłując przedrzeć się przez policyjny kordon, miał czelność wzywać na pomoc żonę? Czymże się więc przed nią tłumaczył? Nazajutrz rano kobieta przeczyta w gazecie o wypadku na Montmartrze.

– Moers jeszcze się nie pokazał?

– Zaraz tu będzie, szefie. Położył się już i czytał w łóżku. Powiedziałem, żeby wziął taksówkę.

Marta Jusserand przyniosła swoje wypracowanie, czyli opis tego, co przeżyła.

– Nie zadbałam, naturalnie, o styl. Starłam się nie zapomnieć o niczym i przedstawić wszystko tak obiektywnie, jak tylko potrafię.

Maigret przebiegł wzrokiem dwie stroniczki i nie znalazł w nich nic nowego; dopiero kiedy dziewczyna odwróciła się, żeby zabrać torebkę, zobaczył, że sukienkę na plecach ma rozdartą. I nagle uzmysłowił sobie niebezpieczeństwo, na jakie naraził ją i jej koleżanki.

– Może pani iść do domu. Zaraz każę panią odwiedzić.

– Nie ma potrzeby, panie komisarzu. Jean z pewnością czeka na dole w swoim 4 CV.

Spojrzał na nią pytająco i z rozbawieniem.

– Chyba nie wyznaczyła mu pani randki na Quai des Orfèvres, nie mogła pani wiedzieć, że tu będzie.

– Nie. Ale on jeden z pierwszych przybiegł z placu du Tertre. Widziałam go w tłumie gapiów i inspektorów, a on widział, jak z panem rozmawiam i jak wsiadam do pańskiego wozu. Na pewno domyślił się, że przywiezie mnie pan tutaj.

Zaskoczony Maigret podał jej rękę i rzekł półgłosem:

– No cóż, moje dziecko, życzę szczęścia wam obojgu. Dziękuję. I przepraszam za

emocje, na jakie panią naraziłem. Prasa, ma się rozumieć, nadal nie powinna wiedzieć o naszej zasadzce. Nie zamieści też pani nazwiska.

– To mi bardziej odpowiada.

– Dobranoc.

Odprowadził ją szarmancko aż do schodów i wrócił do pokoju inspektorów kiwając głową.

– Dziwna dziewczyna – mruknął.

– Wszystkie one są dzisiaj takie same – bąknął Torrence, który miał własne zdanie o młodej generacji.

W kilka minut później zjawił się Moers, wypoczęty, jakby przespał twardo całą noc. W niczym się jeszcze nie orientował. Pracownicy laboratorium nie zostali powiadomieni o akcji.

– Jakaś robota, szefie?

Maigret podał mu guzik.

– I to wszystko? – spytał krzywiąc się Moers.

– Tak.

Moers obracał guzik w palcach.

– Chce pan, żebym poszedł na górę i zabrał się do analizy?

– Idę z tobą.

Te słowa podyktował Maigretowi przesąd: siedząc w pokoju inspektorów, gdzie bez przerwy rozlegały się dzwonki telefonów, nie mógł się opanować i, chociaż stracił nadzieję, za każdym razem z drzeniem oczekiwał cudu; pomyślał więc, że jeśli go tu nie będzie, ów cud nastąpi i któryś z inspektorów przybiegnie do laboratorium z wiadomością o ujęciu mordercy.

Moers zapalił lampy, uzbroił się w lupę, w pincetę, w mnóstwo innych nad wyraz delikatnych instrumentów – i wreszcie przystąpił do badania pod mikroskopem nitki oraz kłaczka wełnianej tkaniny.

– Zdaje się, że chce pan wiedzieć, gdzie szyto ubranie, z którego wyrwano ten guzik?

– Chcę wiedzieć wszystko, co możliwe do ustalenia.

– Po pierwsze więc, guzik, choć na to nie wygląda, jest w bardzo dobrym gatunku. Takich nie daje się do konfekcji seryjnej. Sądzę, że jutro rano można będzie bez trudu znaleźć producenta, bo fabryki guzików nie są liczne. Prawie wszystkie mają biura na ulicy Petits-Champs, tuż obok hurtowni materiałów.

– A nitka?

– Taka, jakich używa niemal każdy krawiec. Bardziej mnie interesuje tkanina. Jak pan widzi, splot jest szary, dość pospolity, ale przemieszany z jasnoniebieską nicią staje się wielce charakterystyczny. Założyłbym się, że to nie produkcja francuska, lecz

import z Anglii. Ten import zaś przechodzi przez ręce ograniczonej liczby pośredników. Mogę panu dać ich listę.

Moers posiadał wszelkiego rodzaju listy, roczniki i katalogi, dzięki którym potrafił błyskawicznie ustalić pochodzenie różnych rzeczy, od broni i pary butów po chusteczkę do nosa.

– O, proszę! Jak pan widzi, połowa importerów ma swoje biura także na ulicy Petits-Champs.

W Paryżu, na szczęście, hurtownie grupują się w poszczególnych dzielnicach według branż.

- Żadne biuro nie jest czynne przed ósmą, większość dopiero od dziewiątej...
- Zaczniemy od tych, które są otwarte od ósmej.
- To wszystko na dziś wieczór?
- Chyba że dałoby się jeszcze coś wykryć...
- Spróbuję, a nuż...

Będzie niewątpliwie próbował znaleźć na nitce i na kłaczku wełny jakieś drobiny kurzu, który mógłby stanowić rewelację. Trzy lata temu pewien przestępca został zidentyfikowany dzięki plamie drukarskiej farby, a inny dzięki pyłkowi z trocin na chustce.

Maigret poczuł się nagle zmęczony. Napięcie ostatnich dni, ostatnich godzin opuściło go i teraz stracił oparcie, ochotę na cokolwiek, optymizm.

Jutro rano będzie musiał stawić czoło sędziemu Comélieu i dziennikarzom, osaczającym go kłopotliwymi pytaniami. Co im powie? Nie może ujawnić prawdy. Nie może też bazować na samym kłamstwie.

Kiedy zszedł na dół, zrozumiał, że potyczka z dziennikarzami nie odbędzie się rankiem, lecz za chwilę. Barona nie było, zastępowali go trzej inni, wśród nich mały Rougin, podeksytowany, z błyszczącymi oczyma.

- Przyjmie nas pan w gabinecie, komisarzu?

Wzruszył ramionami, wpuścił ich do gabinetu, obrzucił spojrzeniem całą trójkę, gotującą się do ataku z notesami i ołówkami w ręku.

- Pański więzień dał drapaka?

Fatalnie, że zaczynają od Mazeta, który w obliczu nowych wydarzeń sprawiał jeszcze więcej ambarasu.

- Nikt nie dał drapaka.
- Wpuścił go pan na wolność?
- Nikogo nie wypuściłem na wolność.
- A jednak dziś wieczór morderca znowu usiłował zabić, nieprawdaż?
- Napadnięto młodą kobietę na ulicy niedaleko placu du Tertre, ale skończyło się na strachu.

- Nie została zraniona?
- Nie.
- Napastnik wyciągnął na nią nóż?
- Dziewczyna nie jest o tym przekonana.
- Nie ma jej tutaj?

Rozglądali się podejrzliwie. Pewnie im powiedziano na Montmartrze, że wsiadła do samochodu komisarza.

- Jak się ona nazywa?
- Nazwisko nie ma tutaj żadnego znaczenia.
- Trzyma je pan w tajemnicy?
- Powiedziałbym raczej, że nie ma potrzeby go publikować.
- Z jakiego powodu? Jest mężatką? Była tam, gdzie nie powinna się znajdować?
- To jest niejaki wytłumaczenie.
- Ale czy istotne?
- Nie wiem.
- Nie sądzi pan, że za dużo w tym wszystkim zagadek?
- Zagadka, która mnie najbardziej zaprzęta, to identyfikacja mordercy.
- Już ją pan rozwiązał?
- Jeszcze nie.
- Dysponuje pan nowymi elementami i spodziewa się ją pan rozwiązać?
- Możliwe.
- Oczywiście nie dowiemy się od pana, jakie to elementy?
- Nie. Oczywiście.
- Czy młoda osoba, której nazwisko otaczacie taką tajemnicą, widziała

napastnika?

– Nie za dobrze, ale dostatecznie dobrze, abym mógł podać panom niektóre dane rysopisu.

Maigret podał im ów niepełny rysopis, nie wspominając o oberwanym guziku.

- Niezbyt to precyzyjne, prawda?
- Wczoraj było jeszcze mniej precyzyjne, bo nic w ogóle nie wiedzieliśmy.

Czuł się nieswojo i wyrzucał sobie sposób, w jaki ich traktuje. I oni, i on pracowali w swoim zawodzie. Wiedział, że irytują ich jego wypowiedzi, a jeszcze bardziej milczenie, ale mimo wszystko nie mógł zdobyć się na zwykłą kordialność.

- Jestem zmęczony, moi panowie.
- Wraca pan do siebie?
- Gdy mi tylko na to pozwolicie.
- Tam na górze ciągle go szukają?
- Ciągle.

– Czy zwolni pan człowieka, którego inspektor Lognon przedwczoraj przyprowadził i którego pan dwa razy przesłuchiwał?

Należało znaleźć jakąś odpowiedź.

– Ten człowiek nigdy nie był niepokoiony. Nie był podejrzany, był jedynie świadkiem, którego nazwisko z pewnych względów nie może być ujawnione.

– Ze względu na ostrożność? Bezpieczeństwo?

– Poniekąd.

– Jest jeszcze pod opieką policji?

– Tak.

– A nie wymknął się dziś wieczór na Montmartrze?

– Nie. Są jeszcze jakieś pytania?

– Kiedy przyszlśmy, był pan w laboratorium.

Na Quai des Orfèvres znali każdy kąt, nie gorzej niż sam Maigret.

– Laboratorium nie pracuje na supozycjach, lecz na dowodach rzeczowych.

Maigret ani drgnął. Patrzył na nich spokojnie.

– Czy wypada z tego wnioskować, że napastnik z ulicy Norvins zostawił jakiś ślad? Może jakiś dowód w ręku ofiary?

– Dla dobra śledztwa najlepiej nie wyciągać żadnych wniosków z moich posunięć. Jestem przemęczony, pozwólcie więc, panowie, że się wycofam. Za dwadzieścia cztery, za czterdzieści osiem godzin może będę miał więcej do powiedzenia. Na razie musicie zadowolić się rysopisem, który podałem.

Było już wpół do drugiej w nocy. W pokoju inspektorów coraz rzadziej odzywały się telefony. Maigret wszedł tam, żeby uścisnąć na pożegnanie ręce Torrence'a i Lucasa.

– Ciągłe nic?

Wystarczyło na nich spojrzeć, by wiedzieć, że pytanie jest zbędne. Nadal będą zacieśniać kordon wokół dzielnicy i przeszukiwać uliczkę po uliczce, dom po domu, aż do chwili gdy wstający nad Paryżem świt oświetli pojemniki ze śmieciami na trotuarach.

– Dobranoc, chłopcy.

Na wszelki wypadek nie odprawił kierowcy, który teraz chodził tam i z powrotem po dziedzińcu. Żeby wypić kufelek świeżego piwa, trzeba by jechać daleko, na Montparnasse, w okolice placu Pigalle, a Maigretowi brakowało na to odwagi.

Pani Maigret w nocnej koszuli otworzyła mu drzwi, zanim zdążył wyjąć klucz z kieszeni. Pomrukując, z upartym wyrazem twarzy, zbliżył się do kredensu, w którym stała karafka z nalewką. Nie miał na nią ochoty, chciał napić się piwa i jednym haustem opróżniając kieliszek doznał uczucia, jakby się trochę mścił.

Rozdział 5

Dziura wypalona papierosem

Mogłoby to trwać całymi tygodniami. Tego ranka na Quai des Orfèvres wszyscy byli wyczerpani, mieli niesmak w ustach. Niektórzy, jak Maigret, spali trzy, cztery godziny. Inni, mieszkający na przedmieściach, wcale się nie kładli.

Pozostawało jeszcze spenetrowanie kwartału Grandes-Carrières, obstawienie stacji metra, obserwacja ludzi wychodzących z domów.

– Dobrze się panu spało, komisarzu? – zagadnął Maigreta na korytarzu mały Rougin swoim wysokim głosem o nieco metalicznym brzmieniu. Był świeży, wypoczęty, tryskał większą niż zwykle energią. Wydawał się szczególnie czymś rozradowany i komisarz zrozumiał tego przyczynę, gdy przeczytał gazetę, dla której pracował młody reporter. On także zresztą podjął pewne ryzyko. Już w przeddzień – potem w ciągu wieczora i wreszcie podczas wizyty na Quai des Orfèvres, gdy we trzech czy czterech osaczali Maigreta – Rougin odgadł prawdę.

Resztę nocy spędził niewątpliwie na przepytywaniu pewnych ludzi, zwłaszcza właścicieli hotelów.

Tak czy owak, jego dziennik tłustym drukiem obwieszczał:

„Morderca wymknął się z pułapki zastawionej przez policję”.

Mały Rougin czekał więc w korytarzu na reakcję Maigreta.

„Zaprzysiężniony z nami komisarz Maigret – pisał Rougin – nie zaprzeczy, jak sądzę, jeśli wysuniemy hipotezę, że aresztowanie, dokonane przedwczoraj i z rozmysłem trzymane w głębokiej tajemnicy, miało być atrapą wciągającą w zasadzkę mordercę z Montmartre’u...”

Rougin posunął się jeszcze dalej. W środku nocy obudził znanego psychiatrę i postawił mu szereg pytań; były to pytania podobne do tych, które zadawał Maigret profesorowi Tissot.

„Czy liczone na to, że przestępca zacznie krążyć dokoła gmachu Policji Kryminalnej, żeby zobaczyć człowieka, który zamiast niego jest oskarżany? Możliwe. Ale bardziej prawdopodobna wydaje się teza, że chciano pochlebić jego próżności i pchnąć go do nowej zbrodni w dzielnicy nafaszerowanej policją...”

Tylko gazeta Rougina poszła tym tropem. Reszta dziennikarzy poruszała się po omacku.

– Jeszcze tu siedzisz – burknął Maigret na widok Lucasa w pokoju inspektorów. – Nie idziesz się przespać?

– Spałem w fotelu, później popływałem sobie w Bains Deligny i ogoliłem się w kabinie.

– Kto jest do dyspozycji?

– Prawie wszyscy.

– Ciągle nic, naturalnie?

Lucas poprzestał na wzruszeniu ramionami.

– Wezwij do mnie Janvier, Lapointe'a, paru innych.

Od wczoraj wypił tylko jedno piwo i kieliszek nalewki, a czuł się jak po ciężkim przepiciu. Niebo zachmurzyło się, ale nie przyniosło to żadnej ochłody. Nad miastem wciąż wisiał szary woal, lepka para z wolna opadała na ulice, zmieszana z kurzem i zapachem benzyny drażniła gardło.

Maigret otworzył okno i natychmiast je zamknął: powietrze na zewnątrz mniej się nadawało do oddychania niż w pokoju.

– Pojedziecie na ulicę Petits-Champs, chłopcy. Macie tu kilka adresów. Jeśli się wam nie powiedzie, poszukajcie następnych w książce telefonicznej. Jedni zajmą się guzikami, drudzy tkaniną.

Przekazał im to wszystko, czego dowiedział się od Moersa na temat importerów i hurtowników.

– Może nam się tym razem poszczęści. Utrzymujcie ze mną stałą łączność.

Wciąż był nachmurzony, ale nie dlatego – jak myśleli – że poniósł klęskę, nie dlatego, że ściganemu przestępcy udało się wyśliznąć z sieci.

Tego się właściwie spodziewał. W rzeczywistości nie była to klęska, potwierdziły się bowiem jego przewidywania i w końcu znalazł punkt zaczepienia, uzyskał pewną wskazówkę, choć pozornie tak niewiele znaczącą.

Nie przestawał myśleć o zabójcy i teraz, kiedy przynajmniej jedna osoba go widziała, postać jego nabierała coraz wyraźniejszych konturów. W wyobraźni komisarza rysował się jako człowiek jeszcze młody, jasnowłosy, przypuszczalnie melancholijny lub zgorzkniały. Maigret mógłby się obecnie założyć, że pochodzi z dobrej rodziny i jest przyzwyczajony do wygodnego życia.

Nosił obrączkę. Był zatem żonaty. Miał ojca i matkę. Chodził do szkoły, może na wyższą uczelnię?

Tego ranka, całkiem samotny, stawiał czoło stołecznej policji, wszystkim paryżanom; zapewne czytał też artykuł małego Rougin.

Czy spał tej nocy po ominięciu pułapki, w którą omal nie został schwytyany?

O ile dokonywane zbrodnie przynosiły mu uspokojenie czy wprawiały w pewien rodzaj euforii, to jaki efekt wywarł na nim nieudany zamach?

Maigret, nie czekając na wezwanie, ruszył do gabinetu sędziego Comélieu i zastał go przy lekturze dzienników.

– A przestrzegałem pana, komisarzu. Nie może pan twierdzić, że byłem entuzjastą pańskiego projektu ani że go aprobowałem.

– Moi ludzie są już na tropie.

– Czy to właściwy trop?

– Mają w ręku dowód rzeczowy, musi on nas dokądś doprowadzić. Może to kwestia tygodni, a może dwóch godzin.

Nie zajęło to nawet dwóch godzin. Na ulicy Petits-Champs Lapointe udał się najpierw do biura, którego ściany obwieszane były różnorodnymi guzikami. „Firma założona w 1782” – głosił napis na drzwiach pod nazwiskami dwóch wspólników. Ekspozowana kolekcja ukazywała wszystkie wzory guzików wyprodukowanych od początku istnienia fabryki. Lapointe pokazał swoją policyjną odznakę i zapytał:

– Czy dałoby się określić, skąd pochodzi ten guzik?

Dla niewtajemniczonych, dla Lapointe’a, dla Maigreta, był to najzwyczajniejszy guzik, ale urzędnik, ledwie nań rzuciwszy okiem, rzekł bez wahania:

– To od Müllerbacha z Colmaru.

– Müllerbach ma swoją filię w Paryżu?

– W tym samym gmachu, dwa piętra niżej.

Cały dom, jak zorientowali się Lapointe i jego kolega, zajmowały biura firm handlujących guzikami.

Pan Müllerbach już nie żył, interes przejął syn zięcia ostatniego Müllerbacha. Niezwykle grzecznie przywitał policjantów w swoim gabinecie i obracając guzik zapytał:

– Co właściwie chcieliby panowie wiedzieć?

– Czy ten guzik robiony był w pańskiej fabryce?

– Tak.

– Ma pan może listę krawców, którym sprzedawaliście podobne guziki?

Przemysłowiec nacisnął guzik dzwonka, mówiąc jednocześnie:

– Jak zapewne panowie wiedzą, fabrykanci tkanin często zmieniają kolor, a nawet splot większości materiałów. Przed rzuceniem na rynek jakiejś nowości przysyłają nam próbki, abyśmy z kolei mogli dopasować do nich nasze wyroby. Wyroby te sprzedajemy bezpośrednio krawcom...

Wszedł młody człowiek, niemal staniający się na nogach wskutek upału.

– Zechce pan, panie Jeanfils, odszukać w rejestrach dane o tym guziku i przynieść nam spis krawców, którzy nabyli takie guziki.

Pan Jeanfils wyszedł bez szmeru, nie otworzywszy nawet ust. Podczas jego nieobecności fabrykant ciągnął swój wywód, tłumacząc policjantom mechanizm handlu guzikami. W niespełna dziesięć minut później zapukano do oszklonych drzwi. Wszedł tenże pan Jeanfils i położył na biurku guzik oraz zapisaną na maszynie kartkę papieru.

Była to lista ze czterdziestu krawców – czterech w Lyonie, dwóch w Bordeaux, jeden w Lille, paru innych w różnych miastach Francji, reszta w Paryżu.

– Proszę, panowie. Życzę powodzenia.

Znaleźli się znów na ulicy, oszołomieni hałasem po świętej ciszy zakrystii, jaka panowała w biurach.

– Co robimy? – spytał towarzyszący Lapointe’owi Broncard. – Zaraz się za to bierzemy? Już policzyłem. W Paryżu jest ich dwudziestu ośmiu. Jeśli weźmiemy taksówkę...

– Wiesz, gdzie jest teraz Janvier?

– Tak. Wszedł do tej wysokiej kamienicy, a raczej do biur w głębi podwórza.

– Czekaj tutaj na niego.

Sam natomiast wpadł do niewielkiego baru z podłogą posypaną trocinami, zamówił blanc-vichy i zamknął się w kabine telefonicznej. Ponieważ Maigret był jeszcze u sędziego, Lapointe kazał się połączyć z gabinetem Comélieu.

– Razem czterdziestu krawców – zameldował – dwudziestu ośmiu w Paryżu. Mam zacząć obchód?

– Zostaw sobie tylko cztery, pięć nazwisk. Pozostałe przedyktuj Lucasowi, który wyśle tam naszych ludzi.

Lapointe nie skończył jeszcze dyktować, kiedy zjawili się w barze Janvier i Broncard z czwartym kolegą. Czekali na niego przy kontuarze i wszyscy trzej wyglądali na zadowolonych. W pewnym momencie Janvier uchylił oszklone drzwi kabiny.

– Nie rozłączaj się, Lapointe. Muszę mówić z szefem.

– To nie szef, to Lucas.

– Niech będzie Lucas.

Z powodu niewyspania czuli pewien rodzaj podniecenia, oddechy mieli gorące, oczy zmęczone, ale pełne blasku.

– To ty, stary? Powtórz szefowi, że wszystko idzie dobrze. Mówi Janvier, tak. Trafiliśmy w dziesiątkę. Całe nasze szczęście, że facet lubi ubrania z angielskiego materiału. Później ci wyjaśnię. Znam już na pamięć cały proceder. Słowem, z dziesięciu krawców zamawiało, jak dotąd, taki materiał. Znacznie więcej otrzymało próbki. Te próbki krawcy pokazują klientom, a gdy dostają od nich zamówienie, kupują odpowiedni metraż. Czyli można mieć nadzieję, że szybko nam to pójdzie, o

ile, co jest mało prawdopodobne, garnitur nie był szyty w Anglii.

Rozstali się po wyjściu z baru i każdy wsunął do kieszeni swoją notatkę z adresami – jak gdyby grali między sobą w loterię. Jeden z nich przypuszczalnie, może nawet tego samego ranka, zdobędzie poszukiwane od pół roku nazwisko.

Główny los wyciągnął mały Lapointe; zarezerwował dla siebie część lewego wybrzeża Sekwany w okolicy bulwaru Saint-Germain, które znał dobrze, bo tam mieszkał.

Pierwszy krawiec na bulwarze Saint-Michel istotnie nabył ową sławetną tkaninę. Mógł też pochwalić się przed inspektorem ubraniem, które z niej uszył i które, jeszcze nie gotowe, z jednym rękawem i bez kołnierza, czekało na przymiarkę.

Ostatni adres zaprowadził Lapointe'a do skromnego mistrza igły, polskiego pochodzenia. W pracowni na trzecim piętrze domu przy ulicy Vanneau zatrudnił tylko jednego pomocnika. Gdy wszedł Lapointe, krawiec siedział na stole zajęty szyciem, w okularach w żelaznej oprawce na nosie.

– Poznaje pan ten materiał?

W identyczne próbki zaopatrzył Janvier swych kolegów.

– Naturalnie. Bo co? Chce pan mieć z tego garnitur?

– Chcę wiedzieć, dla kogo pan szył takie ubranie.

– To już dawno temu.

– Jak dawno?

– Zeszłej jesieni.

– Pamięta pan tego klienta?

– Pamiętam.

– Co to za jeden?

– Pan Moncin.

– Kim jest ten pan Moncin?

– Bardzo dystyngowany pan, od lat się u mnie ubiera.

Rozdygotany Lapointe nie mógł uwierzyć własnym uszom. Oto dokonywał się cud. Człowiek tak poszukiwany, przez którego popłynęło morze atramentu, któremu wszystkie siły policyjne poświęciły tyle godzin pracy, człowiek ten – jak się nagle okazało – ma nazwisko. Będzie więc miał adres i stan cywilny i niezadługo przybierze realne kształty.

– Mieszka w tej dzielnicy?

– Niedaleko stąd, na bulwarze Saint-Germain koło metra Solférino.

– Zna go pan dobrze?

– Jak każdego klienta. To człowiek dobrze wychowany, ujmujący.

– Dawno u pana nie był?

– Ostatnim razem był zeszłego roku w listopadzie w sprawie płaszcza; trochę

wcześniej szył mu ten garnitur.

– Ma pan jego dokładny adres?

Krawiec przekartkował zeszyt, w którym ołówkiem zapisane były nazwiska i adresy obok cyfr, zapewne ceny ubrań, bo niektóre po zapłaceniu przekreślono czerwonym krzyżykiem.

– Dwieście dwadzieścia osiem bis.

– Nie wie pan, czy jest żonaty?

– Małżonka kilka razy mu towarzyszyła. Zawsze z nim przychodzi, żeby wybrać.

– Młoda?

– Myślę, że ma ze trzydzieści lat. Bardzo wytworna osoba, prawdziwa dama.

Lapointe nie mógł się opanować, drżał na całym ciele. Jeszcze chwila, a wpadnie w panikę. Będąc tak blisko celu, bał się, że coś nagle nie wypali i wszystko na nowo znajdzie się pod znakiem zapytania.

– Dziękuję. Może jeszcze pana odwiedzę.

Zapomniał spytać o zawód Marcela Moncin; zbiegł po schodach i pognął na bulwar Saint-Germain, gdzie jak urzeczony stanął przed kamienicą numer dwieście dwadzieścia osiem bis. Była to zresztą kamienica nie różniąca się od innych przy tym bulwarze, w tym samym stylu, z żelaznymi balkonami. Otwarte drzwi frontowe ukazywały korytarz pomalowany na beżowo; w głębi winda, po prawej służbówka dozorczyńni.

Lapointe'a ogarnęło niemal bolesne pragnienie, żeby tam się znaleźć, zebrać informacje, wejść do apartamentu Moncina i rozprawić się z tym osławionym mordercą – wiedział jednak, że nie ma prawa tak postąpić.

Na wprost stacji metra pełnił służbę umundurowany funkcjonariusz policji. Lapointe zwrócił się do niego, wyjawiał mu, kim jest, i powiedział:

– Popilnujcie tego domu przez kilka minut, póki nie zatelefonuję na Quai des Orfèvres.

– Co mam robić?

– Nic. A raczej... jeżeli wyjdzie stamtąd mężczyzna mniej więcej trzydziestoletni, szczupły blondyn, urządzcie się tak, żeby go przetrzymać, spytacie o dokumenty, o... wszystko jedno o co...

– Kto to jest?

– Nazywa się Marcel Moncin.

– Co zrobił?

Lapointe wolał nie mówić, że sprawa według wszelkiego prawdopodobieństwa dotyczy zabójcy z Montmartre'u.

W parę chwil później znów był w kabinie telefonicznej.

– Policja Kryminalna? Połączcie mnie natychmiast z komisarzem Maigret. Tu

Lapointe.

Dygotał tak, że aż się jąkał.

– To pan, szefie? Lapointe. Tak. Znalazłem... Co? Tak... Nazwisko, adres...

Jestem naprzeciw jego domu...

Nagle przyszło mu do głowy, że może wcale nie o to ubranie chodzi, że mogą być inne uszyte z tego samego materiału.

– Janvier telefonował? Tak? Co mówił?

Trafiono na ślad trzech innych garniturów, ale rysopis klientów nie zgadzał się z zeznaniami Marty Jusserand.

– Dzwonię z bulwaru Saint-Germain... Przed drzwiami zostawiłem posterunkowego... Tak... Tak... Słyszę... momencik... Zobaczą, jakie to bistro...

Wybiegł z kabiny i na wspak odczytał rząd emaliowanych liter na odwrotnej stronie witryny:

– „Cafe Solférino”...

Maigret polecił mu nie ruszać się z miejsca i nie pokazywać na ulicy. Nie minął kwadrans, kiedy popijając przy ladzie blanc-vichy Lapointe rozpoznał dwa małe wozy policyjne, które zatrzymały się w pobliżu, ale w pewnej odległości jeden od drugiego. Wysiadający z samochodu Maigret wydał mu się bardziej zwalisty i ociężały niż zwykle.

– Poszło tak łatwo, szefie, że wprost nie śmiem uwierzyć...

Czy Maigret był również zdenerwowany? Jeśli tak, to tego nie okazywał. Ci, którzy go znali, wiedzieli jednak, że zawsze ukrywa zdenerwowanie pod naburmuszoną lub upartą miną.

– Co pijesz?

– Blanc-vichy.

Maigret skrzywił się.

– Macie piwo z beczki?

– Naturalnie, panie Maigret.

– Pan mnie zna?

– Dość często widywałem pańskie zdjęcia w gazetach. A w ubiegłym roku, kiedy się pan zajmował tym, co się działo w ministerstwie naprzeciw, wstępował pan do nas, żeby się napić.

Maigret wychylił duszkiem swoje piwo.

– Chodź.

Tymczasem odbywała się już akcja, która choć nie tak imponująca jak nocna, była nie mniej ważna. Dwaj inspektorzy weszli aż na ostatnie piętro, inni ustawili się na chodniku, jeszcze inni po przeciwnej stronie ulicy i na jej rogach, nie licząc radiowozu niedaleko domu.

Nie będzie to zapewne potrzebne. Zabójcy tego typu rzadko kiedy stawiają opór, w każdym razie nigdy nie używają broni.

– Mam iść z panem?

Maigret skinął potakująco głową i obaj wkroczyli do służbówki konsjerżki. Wnętrze urządzone po mieszczańsku, z niewielką bawialnią oddzieloną od kuchni czerwoną welurową zasłoną. Dozorczyńni, kobieta około pięćdziesiątki, powitała ich spokojnym uśmiechem.

– Panowie do kogo?

– Do pana Moncin.

– Drugie piętro na lewo.

– Nie wie pani, czy jest u siebie?

– Chyba jest. Nie widziałam, żeby wychodził.

– Pani Moncin jest także w domu?

– Wróciła z zakupów jakieś pół godziny temu.

Maigret mimo woli pomyślał o swoim spotkaniu z profesorem Tissot u doktorostwa Pardon. Kamienica spokojna, zapewniająca komfort, trochę staroświecka, z połowy dziewiętnastego wieku – robiła wrażenie bardzo korzystne. Czekająca na nich winda dobrze naoliwiona, z błyszczącą mosiężną gałką, woleli jednak wejść pieszo na górę po schodach wyłożonych grubym karmazynowym chodnikiem.

Na większości słomianek pod drzwiami z ciemnego drzewa widniały inicjały, jeden lub dwa; lśniły wypolerowane guziczki dzwonków, na klatkę schodową nie docierały z mieszkań żadne odgłosy, żadne zapachy kuchenne.

Drzwi na pierwszym piętrze zdobiła plakietka specjalisty chorób płucnych.

Na drugim piętrze po lewej przybita na drzwiach mosiężna tabliczka, tego samego formatu, odznaczała się bardziej wyszukany liternictwem.

Marcel Moncin
architekt dekorator

Przystanęli obaj, spoglądając na siebie, i Lapointe odniósł wrażenie, że jego szef jest nie mniej niż on wzburzony. W końcu Maigret wyciągnął rękę, żeby nacisnąć guzik elektrycznego dzwonka. Nie usłyszeli żadnego dźwięku, pewnie odezwał się gdzieś w głębi mieszkania.

Minęło trochę czasu, który wydał im się nazbyt długi, nim wreszcie otworzyły się drzwi; pokojówka w białym fartuszkach, nie mająca chyba jeszcze dwudziestu lat, obrzuciła ich zdziwionym spojrzeniem.

– O co chodzi? – spytała.

– Zastaliśmy pana Moncin?

Wydawała się zakłopotana.

– Nie wiem – bąknęła.

A więc był w domu.

– Jeśli panowie zechcą chwilę poczekać, pójde po panią..

Nie musiała iść daleko: na końcu korytarza ukazała się młoda jeszcze kobieta w peniuarze, który dla ochłody narzuciła na siebie zapewne po powrocie z miasta.

– Co się dzieje, Odile?

– Tych dwóch panów chce rozmawiać z panem. Kobieta postąpiła kilka kroków naprzód, krzyżując poły peniuaru; patrzyła Maigretowi prosto w twarz, badawczo, jak gdyby jej kogoś przypominał.

– Słucham pana? – zapytała starając się zrozumieć.

– Pani mąż jest w domu?

– To znaczy...

– To znaczy, że jest.

Zaczerwieniła się lekko.

– Tak. Ale śpi.

– Zmuszony jestem prosić, żeby go pani obudziła.

Zawahała się, szepnęła:

– Z kim mam zaszczyt rozmawiać?

– Policja Kryminalna.

– Komisarz Maigret, prawda? Wydawało mi się, że pana poznaję...

Maigret, który nieznacznie przesunął się bliżej, stał teraz w proggu.

– Proszę obudzić męża. Przypuszczam, że wrócił późno ostatniej nocy?

– Co chce pan przez to powiedzieć?

– Czy zwykle tak długo sypia? Już po jedenastej.

Uśmiechnęła się.

– Często mu się to zdarza. Lubi pracować wieczorami, nieraz do późna w noc. To mózgowiec, artysta.

– Nie wychodził wczoraj wieczorem?

– Nic mi o tym nie wiadomo. Jeżeli zechcą panowie zaczekać w salonie, pójde go uprzedzić.

I rozwarła oszklone drzwi do salonu, który w tak starym domu zaskakiwał swoją nowoczesnością, ale nie było tu nic agresywnego; Maigret pomyślał nawet, że czułby się dobrze mieszkając w podobnym wnętrzu. Jedynie obrazy na ścianach nie przypadły mu do gustu. Nie rozumiał ich.

Lapointe, wciąż stojąc, miał na oku drzwi frontowe. Ostrożność zbędna, ponieważ wszystkie wejścia były teraz strzeżone.

Młoda kobieta opuściła salon z szelestem jedwabnego peniuaru i choć wróciła po

kilku minutach, zdążyła przyczesać sobie włosy.

– Zaraz tu będzie. Marcel jest dziwnie wstydliwy i nieraz się z nim na ten temat przekomarzam: nie cierpi pokazywać się w szlafroku.

– Nie sypiacie państwo razem?

Drgnęła niepostrzeżenie i rzekła z prostotą:

– Jak wiele par małżeńskich...

Czyż nie stało się to nieomal regułą w pewnym środowisku? A zatem nie było niczym szczególnym. Maigret usiłował jedynie zorientować się, czy pani Moncin gra jakąś rolę, czy coś wie, czy też, przeciwnie, zastanawia się, co wspólnego z jej mężem może mieć komisarz Maigret.

– Mąż pani pracuje tutaj?

– Tak.

Otworzyła boczne drzwi do gabinetu, dość obszernego, z dwoma oknami wychodzącymi na bulwar Saint-Germain; deski kreślarskie, sztalugi, zwoje papieru, groteskowe makiety ze sklejk lub z drutu – wszystko przywodziło na myśl dekoracje teatralne.

– Dużo pracuje?

– Za dużo jak na swoje zdrowie. Nigdy nie był zbyt mocny. Powinniśmy teraz jak co roku siedzieć w górach, ale Marcel przyjął zamówienie i to pozbawia nas możliwości wyjazdu.

Maigret rzadko widywał kobiety tak spokojne, tak opanowane. Musi ją przecież niepokoić wizyta komisarza policji, w czasie gdy prasa rozpisuje się o zabójcy, a wszyscy dokoła wiedzą, że Maigret prowadzi w tej sprawie śledztwo. Pani Moncin tymczasem robiła wrażenie osoby ciekawej tylko, jak wygląda z bliska ten sławny człowiek.

– Pójdę zobaczyć, czy już kończy się ubierać.

Maigret usiadł w fotelu, wolno nabił fajkę, zapalił, wymienił spojrzenie z Lapointe'em, który wyraźnie się niecierpliwił.

Kiedy drzwi, za którymi znikła pani Moncin, otworzyły się znowu, wszedł do salonu mężczyzna tak młodo wyglądający, iż można by sądzić, że zaszło tu jakieś nieporozumienie. Subtelny beżowy kolor domowego ubrania jeszcze bardziej rozjaśniał jego włosy; miał delikatną cerę i bladoniebieskie oczy.

– Przepraszam, że kazałem panom czekać...

W uśmiechu, który przewinał mu się po wargach, było coś dziecięcego, coś kruchego.

– Żona obudziła mnie mówiąc...

Czyż tej żony nie interesuje cel ich wizyty? A jednak nie wracała. Może podsłuchuje pod drzwiami?

– Sporo ostatnio pracowałem nad projektem wnętrza ogromnej willi; zbudował ją dla siebie na wybrzeżu normandzkim jeden z moich przyjaciół...

Wyjął z kieszeni batystową chusteczkę, otarł kropelki potu z czoła i ust.

– Jest jeszcze duszniej niż wczoraj, prawda?

Spojrzał przez okno na niebo w barwie lawendy.

– Otwieranie okien nic nie pomaga. Mam nadzieję, że będzie burza.

– Pan wybaczy – zaczął Maigret – ale muszę zadać panu parę niedyskretnych pytań. Chciałbym przede wszystkim obejrzeć garnitur, który nosił pan wczoraj.

To go zaskoczyło, ale się nie przeraził. Źrenice mu się z lekka rozszerzyły. Wydał wargi, jakby mówił: „Śmieszny pomysł”. Potem rzekł kierując się ku drzwiom: – Proszę chwilę poczekać...

W pół minuty później zjawił się z szarym ubraniem na ramieniu. Maigret obejrzał je, po wewnętrznej stronie kieszeni odnalazł nazwisko krawca z ulicy Vanneau.

– Miał pan to wczoraj na sobie?

– Z całą pewnością.

– Wczoraj wieczorem?

– Zdjąłem je zaraz po kolacji, żeby się przebrać w robocze ubranie. Pracuję przeważnie nocą.

– Nie wychodził pan z domu po ósmej wieczorem?

– Siedziałem w mojej pracowni aż do drugiej czy do wpół do trzeciej nad ranem. Dlatego jeszcze spałem, kiedy panowie przyszli. Potrzebuję dużo snu jak wszyscy nerwicowcy.

Zdawał się oczekiwać od nich aprobaty, robił wrażenie raczej studenta niż mężczyzny po trzydziestce. Z bliska jednak można było zauważyć, że zużyta twarz kontrastuje z pozorną młodością. Skóra nie wyglądała na zdrową i świeżą, co przydawało mu swoistego wdzięku, jak to się zdarza kobietom w wieku dojrzałym.

– Mogę pana prosić o pokazanie całej garderoby?

Tym razem nieco zeszywniał, może chciał zaprotestować, odmówić.

– Skoro to panu sprawi przyjemność... Proszę tedy...

Jeśli żona warowała pod drzwiami, to zdążyła już się wycofać, rozmawiała bowiem ze służącą w jasnej nowoczesnej kuchni na końcu korytarza.

Moncin pchnął drzwi do swojej sypialni utrzymanej w brązowej tonacji; pośrodku stał szeroki tapczan z rozrzuconą pościelą. Moncin odsłonił okno, bo pokój tonął w półmroku, i rozsunął drzwi szafy wbudowanej w ścianę na całej jej długości.

Po prawej stronie szafy wisiało sześć garniturów idealnie wyprasowanych, jak gdyby nie były noszone lub dopiero odebrane z pralni chemicznej, oraz trzy płaszcze, w tym jesionka, a także frak i smoking.

Ani jedno ubranie nie było z materiału, którego próbkę miał w kieszeni Lapointe.

– Możesz mi ją pokazać? – spytał go komisarz.

I podał skrawek tkaniny Moncinowi.

– Ubiegłej jesieni pański krawiec uszył panu z tego ubranie. Przypomina pan sobie?

Moncin obejrzał go.

– Przypominam sobie.

– Co się z nim stało?

Moncin zdawał się namyślać.

– Wiem – rzekł wreszcie. – Ktoś na platformie autobusu wypalił mi w nim dziurę papierosem.

– Dał je pan do reperacji?

– Nie. Nie noszę rzeczy zniszczonych. Zawsze miałem na tym punkcie obsesję. Jeszcze w dzieciństwie wyrzucałem zabawkę, jeśli były na niej ślady zadraśnięć.

– Pozbył się pan tego ubrania? Chce pan powiedzieć, że wrzucił je pan do pojemnika na śmieci?

– Nie. Oddałem je.

– Osobiście?

– Tak. Kiedy wieczorem wybierałem się na spacer po bulwarach, jak to nieraz robię, przewiesiłem je przez ramię i dałem jakiemuś kloszardowi.

– Dawno temu?

– Przed dwoma czy trzema dniami.

– Proszę to sprecyzować.

– Przedwczoraj.

Prawą stronę szafy wypełniały półki, a na nich ze dwanaście par obuwia; w szufladach części środkowej leżały koszule, kalesony, piżamy i chusteczki – wszystko w idealnym porządku.

– Gdzie są buty, w których był pan wczoraj wieczorem?

Nie załamał się, nie zmieszał.

– Nie wkładałem butów, tylko pantofle, które mam teraz na nogach, ponieważ pracowałem w moim gabinecie.

– Zechce pan wezwać służącą? Możemy wrócić do salonu.

– O dyle! – zawołał Moncin w kierunku kuchni. – Pozwól na chwilę.

Dziewczyna zapewne niedawno przyjechała do Paryża, bo zachowała jeszcze skromność i potulność wieśniaczki.

– Komisarz Maigret chce ci zadać parę pytań. Masz mu odpowiedzieć.

– Tak, proszę pana.

I ona również nie była zakłopotana, co najwyżej poruszona faktem, że stoi przed personą oficjalną, o której piszą gazety.

- Nocujesz w tym mieszkaniu?
 - Nie, proszę pana. Mam swój pokój na szóstym piętrze tak jak inne służące w tym domu.
 - A wczoraj wieczorem późno poszłaś na górę?
 - Koło dziewiątej, jak prawie co dzień, gdy tylko pozmywałam statki.
 - Gdzie był wtedy pan Moncin?
 - W swojej pracowni.
 - Jak ubrany?
 - Tak jak teraz.
 - Jesteś tego pewna?
 - Pewna.
 - Od kiedy nie widziałaś szarego garnituru w niebieskie prążki?
- Zastanowiła się.
- Muszę powiedzieć, że to nie ja zajmuję się ubraniami pana. Co do ubrań, to z pana jest wielki... skrupulant.
- Omal nie palnęła: maniak.
- Czy to by znaczyło, że sam je prasuje?
 - Tak.
 - I nie wolno ci otwierać jego szafy?
 - Wkładam tam tylko bieliznę z pralni.
 - Nie pamiętasz, kiedy ostatni raz miał na sobie szary garnitur przetykany niebieską nitką?
 - Zdaje mi się, że dwa, trzy dni temu.
 - Nie rozmawiano, na przykład przy stole, kiedy obsługiwałaś państwa, o dziurze wypalanej na klapie?
 - Zerknęła na chlebowawcę, jakby się chciała go poradzić.
 - Nie wiem – bąknęła. – Nie... Nie słucham tego, co mówią przy stole... Prawie zawsze rozmawiają o rzeczach, których nie rozumiem...
 - Możesz odejść.

Marcel Moncin czekał spokojny i uśmiechnięty; krople potu osiadły mu na górnej wardze.

- Proszę, żeby się pan ubrał i pojechał ze mną na Quai des Orfèvres. Tymczasem mój inspektor będzie panu wszędzie towarzyszył.
- W łazience także?
- W łazience także, za co przepraszam. A teraz porozmawiam z panią. Bardzo mi przykro, panie Moncin, ale nie mogę postąpić inaczej.
- Architekt dekorator zrobił niewyraźny gest zdający się mówić: „Jak pan chce”.

Dopiero na progu odwrócił się i zapytał:

– Mogę wiedzieć, czemu mam przypisać ten honor...?

– Nie teraz, później, w moim biurze.

I Maigret, stając w drzwiach przedpokoju, zawołał w stronę kuchni:

– Zechce pani przyjść tutaj, madame?

Rozdział 6

Losy szaroniebieskiego ubrania

– Czyżby nareszcie ten prawdziwy? – odezwał się kpiąco mały Rougin, gdy komisarz, Lapointe i ich więzień mijali korytarz na Quai des Orfèvres.

Maigret zatrzymał się na ułamek sekundy i ciężkim spojrzeniem obrzucił dziennikarza. Rougin odkaszlnął, nawet fotoreporterzy z nieco mniejszym zapałem zabrali się do swojej pracy.

– Proszę usiąść, panie Moncin. Jeśli panu za gorąco, może pan zdjąć marynarkę.

– Dziękuję. To nie w moim zwyczaju.

Trudno by było istotnie wyobrazić go sobie w zdekompletowanym stroju. Maigret zdjął swoją marynarkę i wszedł do pokoju inspektorów, żeby im wydać instrukcje. Lekko przygarbiony, z szyją wsuniętą w ramiona, z nieobecny spojrzeniem.

Po powrocie do gabinetu skinął na Lapointe'a, żeby został i protokołował, rozłożył swoje fajki, dwie z nich oczyścił skrupulatnie. Chwilę sadowił się w fotelu niczym pianista wirtuoz, który pełen wahania poprawia pozycję i dotyka klawiatury to tu, to tam, jakby chciał oswoić instrument.

– Od dawna jest pan żonaty, panie Moncin?

– Od dwunastu lat.

– Mogę zapytać, ile ma pan lat?

– Trzydzieści dwa. Ożeniłem się w dwudziestym roku życia.

Zapadło dość długie milczenie. Komisarz wpatrywał się w swoje dłonie oparte na blacie biurka.

– Jest pan architektem?

– Architektem dekoratorem – dodał Moncin.

– Czyli, jak mniemam, jest pan architektem specjalizującym się w urządzaniu wnętrza.

Na twarzy swojego rozmówcy zauważył lekki rumieniec.

– Niezupełnie.

– Mógłby mi pan to wyjaśnić?

– Nie jestem uprawniony do projektowania budowli... z braku dyplomu

architekta, ściślej mówiąc.

– Co za dyplom pan posiada?

– Zacząłem od malarstwa.

– W jakim wieku?

– Miałem wtedy siedemnaście lat.

– Zrobił pan maturę?

– Nie. Od wczesnej młodości pragnąłem zostać artystą. Sam malowałem obrazy, które widział pan w naszym salonie.

Maigret nie potrafiłby odgadnąć, co przedstawiają obrazy w salonie państwa Moncin, ale wzbudziły w nim uczucie zażenowania, bo emanowało z nich coś chorobliwego, coś, co napełniało smutkiem. Ani linie, ani barwy nie były czyste. Przeważała jaskrawa czerwień i zieleń w różnych odcieniach przywodząca na myśl światło głębin morskich, farba zaś jakby się sama rozlewała niczym plamy atramentu na bibule.

– Słowem, nie posiada pan dyplomu architekta, a każdy, jeśli dobrze rozumiem, może tytułować się dekoratorem?

– Właśnie tak, jak to pan uprzejmie precyzuje. Przypuszczam, że chce mi pan dać do poznania, że jestem człowiekiem przegranym. – Uśmiechnął się z goryczą. – Ma pan do tego prawo. Już mi to zresztą mówiono.

– Ma pan liczną klientelę?

– Wolę mieć mniej klientów, ale takich, którzy we mnie wierzą i zostawiają mi wolną rękę, niż wielu takich, którzy stawiają warunki.

Maigret opróżnił fajkę, zapalił następną. Rzadko kiedy przesłuchanie zaczynało się w sposób tak mało obiecujący.

– Urodził się pan w Paryżu?

– Tak.

– W jakiej dzielnicy?

Moncin zawahał się.

– Przy skrzyżowaniu ulic Caulaincourt i de Maistre. To znaczy w sektorze, gdzie dokonano pięciu morderstw i jednej nieudanej napaści.

– Długo pan tam mieszkał?

– Aż do ślubu.

– Pańscy rodzice jeszcze żyją?

– Tylko matka.

– Matka mieszka...?

– Ciągle w tym domu, w którym się urodziłem.

– Utrzymuje pan z matką dobre stosunki?

– Moja matka i ja zawsze rozumieliśmy się dobrze.

– Czym zajmował się pana ojciec?

I tym razem zawahał się. Maigret nie odnotował żadnego wahania, gdy była mowa o matce.

– Był rzeźnikiem.

– Na Montmartrze?

– W tym domu, o którym panu mówiłem.

– Zmarł?

– Kiedy miałem czternaście lat.

– Matka sprzedała sklep?

– Wynajmowała go przez pewien czas, potem sprzedała, zatrzymując kamienicę, gdzie zarezerwowała dla siebie lokal na czwartym piętrze.

Ktoś dyskretnie zapukał do drzwi. Maigret przeszedł do pokoju inspektorów i wrócił w towarzystwie czterech mężczyzn. Wszyscy oni byli podobni do Moncina, mieli ten sam wzrost i mniej więcej ten sam wiek.

Byli to urzędnicy Prefektury, dobrani pospiesznie przez Torrence'a.

– Zechce pan wstać, panie Moncin, i razem z tymi panami zająć miejsce przy ścianie.

Po kilku minutach milczącego wyczekiwania znów rozległo się pukanie do drzwi.

– Proszę wejść! – zawołał komisarz.

Na progu ukazała się Marta Jusserand, zaskoczona obecnością w gabinecie tylu ludzi. Najpierw spojrzała na Maigreta, potem kolejno na stojących rzędem mężczyzn; zatrzymała wzrok na Moncinie i zmarszczyła brwi.

Obecni wstrzymali oddech. Dziewczyna zbladła: nagle zdała sobie sprawę, o co chodzi, i uświadomiła sobie odpowiedzialność, jaka na niej ciąży. Tak bardzo się tym przejęła, że omal nie wybuchnęła płaczem ze zdenerwowania.

– Proszę się nie spieszyć – rzekł komisarz głosem dodającym jej odwagi.

– To on, prawda? – szepnęła.

– Pani powinna to wiedzieć lepiej niż ktokolwiek, nikt inny go nie widział.

– Mam wrażenie, że to on. Jestem przekonana. A jednak...

– Jednak?

– Chciałabym go zobaczyć z profilu.

– Proszę obrócić się bokiem – powiedział Maigret.

Moncin obrócił się posłusznie, żaden mięsień nie drgnął w jego twarzy.

– Jestem prawie pewna. Nie tak był ubrany... Oczy też miały inny wyraz...

– Dziś wieczorem, mademoiselle, zaprowadzimy was oboje w to miejsce, gdzie pani widziała napastnika; przy podobnym oświetleniu, może w tym samym ubraniu.

W poszukiwaniu marynarki z oberwanym guzikiem inspektorzy przemierzali bulwary nadrzeczne, plac Maubert, wszystkie zakamarki Paryża nawiedzane przez

kloszardów.

– Nie jestem już potrzebna, panie komisarzu?

– Nie. Dziękuję. A pan, panie Moncin, może znowu usiąść. Papierosa?

– Dziękuję, nie palę.

Maigret zostawił Marcela Moncin pod opieką Lapointe'a, który zgodnie z zaleceniem nie miał go o nic pytać, nie miał z nim rozmawiać, mógł tylko odpowiadać wymijająco, gdyby tamten zadawał mu jakieś pytania.

W pokoju inspektorów komisarz zastał już Lognona czekającego na instrukcje.

– Wejdz do mego gabinetu i na wszelki wypadek przyjrzyj się facetowi, który tam jest z Lapointe'em.

Sam tymczasem zatelefonował do sędziego Comélieu, na chwilę wpadł do dyrektora, aby go poinformować, jak sprawy stoją. Kiedy znów natknął się na Lognona, Pechowiec ze zmarszczonym czołem wyglądał jak ktoś, kto na próżno usiłuje coś sobie przypomnieć.

– Znasz go?

Od dwudziestu dwóch lat Lognon pracował w komisariacie Grandes-Carrières, mieszkał pięćset metrów od domu, w którym urodził się Moncin.

– Jestem pewny, że już go widziałem. Ale gdzie? W jakich okolicznościach?

– Jego ojciec prowadził sklep rzeźniczy na ulicy Caulaincourt. Umarł, ale matka stale mieszka w tej kamienicy. Chodź ze mną.

Wsiedli do jednego z małych wozów służbowych, kierowca podwiózł ich na Montmartre.

– Wciąż się zastanawiam. To irytujące. Jestem pewny, że go znam. Przysięgłbym nawet, że miałem z nim do czynienia...

– Może kiedyś wlepiłeś mu mandat?

– Nie, to nie to. Przypomnę sobie.

Sklep mięsny wyglądał dość okazale, paru ekspedientów, przy kasie otyła kobiecina.

– Idę z panem?

– Tak.

Winda była ciasna. Gdy już do niej wsiadali, zauważyła ich dozorczyń.

– Panowie do kogo? – zawołała podbiegając.

– Do pani Moncin.

– Na czwartym.

– Wiem, wiem.

Kamienica, choć czysta i nieźle utrzymana, była jednak o klasę lub dwie gorsza od domu przy bulwarze Saint-Germain. Klatka schodowa i drzwi znacznie węższe, schody wypastowane lub pokryte lakierem, ale bez chodnika, na drzwiach przeważnie

zwykle wizytówki zamiast metalowych plakietek z nazwiskami.

Kobieta, która im otworzyła, była dużo młodsza, niż spodziewał się Maigret, chuda i tak nerwowa, że nie mogła opanować ciągłych tików.

– Czego chcecie?

– Komisarz Maigret z Policji Kryminalnej.

– Akurat ze mną chce pan rozmawiać?

O ile syn był zdecydowanym blondynem, o tyle matka była zdecydowaną brunetką z błyszczącymi oczkami i ciemnym meszkiem pod nosem.

– Proszę wejść. Właśnie sprzątam...

Mieszkanie jednak wyglądało na sprzątnięte. Pokoje nieduże, meble chyba z pierwszych lat małżeństwa właścicielki.

– Wczoraj wieczorem widziała się pani z synem?

To wystarczyło, by zeszywniała.

– Co ma policja do mojego syna?

– Proszę odpowiedzieć na moje pytanie.

– Dlaczego miałabym się z nim widzieć?

– Przypuszczam, że nieraz panią odwiedza.

– Często.

– Z żoną?

– A co to pana obchodzi?

Nie proponowała, by usiedli, stała przed nimi jak gdyby w nadziei, że rozmowa nie potrwa długo. Na ścianach wisały zdjęcia Marcela w różnym wieku, niektóre robione na wsi, a także rysunki i naiwne obrazki, zapewne malowane przez niego w dzieciństwie.

– Pani syn był tu wczoraj wieczorem?

– Kto to panu powiedział?

– Był tutaj?

– Nie.

– A w nocy?

– Nie ma zwyczaju składać mi wizyt po nocach. I niech mi pan wyjaśni, co znaczą te pytania. Uprzedzam, że już nie będę odpowiadać. Jestem u siebie. Mam prawo milczeć.

– Pani Moncin, z przykrością muszę panią zawiadomić, że syn jest podejrzany o dokonanie pięciu zabójstw w ciągu ostatnich miesięcy.

Zmierzyła go wzrokiem, gotowa skoczyć mu do oczu.

– Co też pan mówi?

– Mamy dość podstaw, by sądzić, że atakował kobiety na ulicach Montmartre’u i że nie udało mu się napaść ubiegłej nocy.

Zaczęła dygotać. Maigret nie wiadomo dlaczego pomyślał, że gra przed nim komedię. Wydawało mu się, że jej reakcja nie jest normalną reakcją matki, która nie spodziewa się podobnej wiadomości.

– Co za czelność! Oskarżać mojego Marcela!... Ale jeśli ja, ja panu powiem, że to nieprawda, że jest niewinny, że jest niewinny jak... – Rozejrzała się po zdjęciach syna z jego lat chłopięcych i zacisnąwszy palce mówiła dalej: – Niech pan tylko na niego spojrzy! Niech mu się pan dobrze przyjrzy, a nie ośmieli się pan zarzucać mu takich potworności...

– Pani syn nie przychodził tu w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin, prawda?

– Nie! Nie! I nie! – powtórzyła z mocą.

– Kiedy widziała go pani po raz ostatni?

– Nie wiem.

– Nie przypomina pani sobie jego odwiedzin?

– Nie.

– Proszę mi powiedzieć, pani Moncin, czy będąc dzieckiem przechodził jakąś poważną chorobę?

– Nic poważniejszego poza różyczką i bronchitem. Co chce mi pan wmówić? Że jest szaleńcem? Że zawsze nim był?

– Czy zgadzała się pani na jego małżeństwo?

– Tak. Byłam dostatecznie głupia. To nawet ja...

W ostatniej chwili połapała się i nie dokończyła zdania.

– To właśnie pani skleciła ich małżeństwo?

– Teraz nie ma to już znaczenia.

– A obecnie nie jest pani w najlepszych stosunkach z synową?

– Co panu do tego? Prywatne życie mego syna nie powinno nikogo obchodzić.

Słyszysz pan? Ani mnie, ani pana. Jeśli ta kobieta...

– Jeśli ta kobieta...?

– Nieważne. Aresztował pan Marcela?

– Jest w moim biurze na Quai des Orfèvres.

– W kajdankach?

– Nie.

– Wpakuje go pan do więzienia?

– Możliwe. Nawet prawdopodobne. Poznała go dziewczyna, na którą wczoraj wieczorem napadł.

– Kłamie. Chcę się z nim widzieć. I ją chcę także zobaczyć, powiedzieć jej...

Kolejny, czwarty albo piąty raz urywała w połowie zdania. Oczy miała suche, silniej błyszczące z gniewu lub gorączkowego podniecenia.

– Niech pan trochę zaczeka, jadę z panem.

Maigret i Lognon porozumieli się wzrokiem: nie zapraszali jej na Quai des Orfèvres. Sama podjęła za nich decyzję i oto teraz słyszeli, jak krząta się w sąsiednim pokoju, do którego drzwi zostawiła półprzymknięte, jak przebiera się i wyjmuje z pudła kapelusz.

– Jeśli to panów krępuje, pojedę metrem.

– Uprzedzam panią, że inspektor zostaje tutaj i przeszuka mieszkanie.

Popatrzyła na chudzielca Lognona tak, jakby chciała go chwycić za kark i wypchnąć na schody.

– On?

– Tak, proszę pani. Jeżeli życzy sobie pani, żeby wszystko odbyło się zgodnie z przepisami, jestem gotów podpisać nakaz rewizji.

Zbyła te słowa milczeniem, burcząc coś niezrozumiale pod nosem i kierując się ku drzwiom rzuciła komisarzowi rozkazująco:

– Niech pan już idzie! – A z podestu schodów krzyknęła jeszcze do Lognona: – Pana to musiałam gdzieś widzieć! Jeśli na swoje nieszczęście stłucze mi pan cokolwiek albo narobi bałaganu w szafach...!

Przez całą drogę, siedząc obok Maigreta, mówiła półgłosem sama do siebie:

– O, nie, to im nie ujdzie na sucho... Dotrę tak wysoko, jak będzie trzeba. W razie konieczności odwołam się do ministra, do prezydenta Republiki... A gazety muszą wydrukować to, co im powiem...

W korytarzu na Quai des Orfèvres zauważyła fotoreporterów; kiedy wycelowali w nią aparaty, ruszyła wprost na nich z wyraźnym zamiarem wyrwania im z rąk tej broni. Musieli salwować się ucieczką.

– Tędy.

Znalazła się na progu gabinetu Maigreta, gdzie prócz Lapointe'a, udającego drzemkę, siedział tylko jej syn; zatrzymała się, popatrzyła na niego, odetchnęła z ulgą i powiedziała nie ruszając się z miejsca, ale obejmując go opiekuńczym spojrzeniem:

– Nie bój się, Marcel. Jestem tutaj.

Moncin wstał, z głębokim wyrzutem patrzył na Maigreta.

– Co oni ci zrobili? Nie znęcali się przynajmniej?

– Nie, mam.

– To wariaci. Ja ci to mówię, wariaci. Ale opłacam najlepszego z adwokatów paryskich. Bez względu na cenę, jakiej zażąda. W razie potrzeby wyzbędę się wszystkiego, co mam. Sprzedam dom. Pójdę zebrać na ulicę.

– Uspokój się, mam.

Unikał patrzenia jej w twarz i zdawał się przeproszać policjantów za zachowanie matki.

– Iwona wie, że tu jesteś?

Rozejrzała się. Jak to możliwe, że żona w takiej chwili nie jest u boku męża?

– Wie o tym, mamó.

– Co mówiła?

– Zechce pani usiąść, madame.

– Nie muszę siadać. Chcę tylko, żebyście mi oddali syna. Chodź, Marcel.

Zobaczmy, czy odważą się ciebie zatrzymać.

– Przykro mi, ale muszę powiedzieć, że tak.

– Więc go pan aresztuje?

– W każdym razie zostaje do dyspozycji organów śledczych.

– Przecież to znaczy to samo. Czy się pan dobrze zastanowił? Zdaje pan sobie sprawę z odpowiedzialności? Ostrzegam pana, że poruszę ziemię i niebo, że się nie poddam...

– Proszę usiąść i odpowiadać na pytania.

– Nie będę odpowiadać na żadne pytania. Podeszła do syna i ucałowała go w oba policzki.

– Nie bój się, Marcel. Nie daj się zastraszyć. Twoja matka jest tutaj. Czuwa nad tobą. Wkrótce dowiesz się, co działałam.

I, twardo spojrzawszy na Maigreta, zdecydowanym krokiem ruszyła do drzwi. Lapointe nie bardzo wiedział, co ma zrobić, Maigret dał mu znak, żeby ją wypuścił, i zaraz potem usłyszeli, jak wrzeszczy coś na korytarzu do reporterów.

– Matka, zdaje się, bardzo pana kocha.

– Ma tylko mnie.

– Była przywiązana do pańskiego ojca?

Moncin już otwierał usta, żeby odpowiedzieć, wybrał jednak milczenie i komisarz sądził, że go rozumie.

– Jakiego rodzaju człowiekiem był pana ojciec?

Moncin jeszcze się wahał.

– Matka nie była z nim szczęśliwa?

Dopiero teraz Moncin odezwał się z urazą w głosie.

– Był rzeźnikiem.

– Wstydział się pan tego?

– Bardzo proszę, panie komisarzu, niech mi pan nie stawia takich pytań. Dobrze wiem, ku czemu pan zmierza, ale zapewniam pana, że myli się pan od początku do końca. Widział pan, do jakiego stanu doprowadził pan moją matkę?

– Sama się do tego stanu doprowadziła.

– Przypuszczam, że na bulwarze Saint-Germain albo gdzie indziej pańscy ludzie nie inaczej traktują moją żonę? Teraz z kolei Maigret milczał.

– Ona nie ma wam nic do powiedzenia. Nie więcej niż moja matka. Nie więcej niż ja. Przesłuchujcie mnie jak długo chcecie, tylko zostawcie je w spokoju.

– Niech pan siada.

– Jeszcze? Długo to potrwa?

– Chyba tak.

– Myślę, że nie dostanę nic do jedzenia ani do picia.

– Na co ma pan ochotę?

– Prosiłbym o wodę.

– Nie woli pan piwa?

– Nie piję ani piwa, ani wina, ani wódki.

– I nie pali pan – dodał w rozmarzeniu Maigret.

Odciągnął na próg Lapointe'a.

– Zaczynaj go przepytować, powoli, nie spiesz się, nie zahaczaj o sedno rzeczy.

Przypomnij mu o ubraniu, spytaj, co robił 2 lutego, 3 marca, w te wszystkie wieczory, kiedy popełniono zbrodnię na Montmartrze. Staraj się dowiedzieć, czy był u matki w jakichś określonych terminach, za dnia czy wieczorem, i dlaczego obie kobiety są skłócone...

Maigret jadł obiad sam przy stoliku w „Brasserie Dauphine”; zamówił cielecą potrawkę pachnącą domową kuchnią.

Zatelefonował do żony, że nie wróci wcześniej, i omal nie połączył się z profesorem Tissot. Chętnie by się z nim spotkał i porozmawiał tak jak wtedy w salonie państwa Pardon. Ale Tissot był również bardzo zajęty. Maigret zresztą nie miał żadnych konkretnych pytań do profesora.

Był zmęczony i smutny bez wyraźnej przyczyny. Czuł, że zbliża się do celu. Wypadki potoczyły się szybciej, niż śmiał przypuszczać. Zachowanie Marty Jusserand było jednoznaczne, a nie wypowiadała się kategorycznie tylko dlatego, że dręczyły ją skrupuły. Historia z marynarką podarowaną włóczędze budziła wątpliwości. Zresztą sprawa niebawem się wyjaśni, ponieważ kloszardów w Paryżu nie jest tak wielu i prawie wszyscy znani są policji.

– Nie jestem panu potrzebny, szefie?

To Mazet, odtwórca roli domniemanego zabójcy, nie mający już nic do roboty.

– Wpadłem na Quai des Orfèvres. Pozwolili mi zerknąć na tego gościa. Myśli pan, że to on?

Maigret wzruszył ramionami. Przede wszystkim musiał zrozumieć. Łatwo zrozumieć człowieka, który ukraść, który zabić, aby nie dać się pochwycić, lub z zazdrości, w porywie gniewu albo dla uzyskania spadku.

Te przestępstwa, przestępstwa pospolite w pewnym sensie, przeżywał nieraz boleśnie, nigdy jednak tak głęboko go nie poruszały. „Idioci” – miał zwyczaj burczeć.

Albowiem – jak niektórzy jego znakomici poprzednicy – był przeświadczony, że gdyby kryminaliści odznaczyli się inteligencją, nie musieliby zabijać.

Niemniej jednak zdolny był poczuć się w ich skórze, pojąć narastające w nich emocje czy zrekonstruować przebieg ich rozumowania.

Wobec Marcela Moncin natomiast czuł się neofitą do tego stopnia, że nie miał odwagi dokończyć przesłuchania.

Moncin nie należał do tych, którzy naruszają prawa obowiązujące w danym społeczeństwie i mniej lub bardziej świadomie staczają się na margines.

To przestępca innej kategorii: mordował bez powodu zrozumiałego dla innych i przecinał ubrania ofiar, jakby mu to sprawiało dziecianną radość.

Był jednak w pewnym sensie osobnikiem inteligentnym. W młodości nie wykazywał żadnej anomalii. Ożenił się i pożycie małżeńskie układało się chyba dobrze. Co do matki, to chociaż była zbyt porywcza, ona i syn mieli sporo cech wspólnych.

Czy Moncin uświadamiał sobie, że jest zgubiony? Czy uświadomił to sobie rankiem, kiedy żona przysłała go zbudzić mówiąc, że w salonie czeka na niego policja?

Jak reaguje człowiek typu Marcela Moncin? Czy cierpi? Czy w przerwach między kryzysami wstydzi się, nienawidzi siebie oraz własnych instynktów? A może wprost przeciwnie, doznaje pewnej satysfakcji stwierdzając, że różni się od innych, i może nawet tę różnicę uważa w duchu za swoją wyższość?

– Kawa, komisarzu?

– Tak, proszę.

– Koniaczek?

Nie. I tak już był ociężały, po alkoholu mógłby się zdrzemnąć, co mu się niemal zawsze zdarzało na pewnym etapie śledztwa, gdy starał się utożsamić z oskarżonym.

– Zdaje się, że go trzymacie w garści? – rzekł restaurator.

Maigret obrzucił go spojrzeniem swych wielkich oczu.

– Piszą o tym w popołudniówce. Podobno tym razem to właściwy sprawca. Ale dał panu w kość. Niektórzy myśleli, że nigdy się go nie złapie, tak jak Kuby Rozpruwacza.

Maigret wypił kawę, zapalił fajkę i wyszedł na ulicę; powietrze było nieruchome, uwięzione między rozprażonym chodnikiem i nisko wiszącym szarym niebem.

Na krześle w pokoju inspektorów siedział jakiś oberwaniec z czapką w ręku, w marynarce kontrastującej z resztą stroju.

Była to sławetna marynarka Marcela Moncin.

– Gdzieście go zdybali? – spytał Maigret.

– Nad Sekwaną, blisko mostu d’Austerlitz.

Komisarz zwracał się z pytaniami do inspektorów, nie do włóczęgi.

– I co on mówi?

– Że znalazł ją na skarpie.

– Kiedy?

– Dzisiaj o szóstej rano.

– A spodnie?

– Też tam leżały. Byli we dwóch, więc się podzielili ubraniem. Nie odszukaliśmy jeszcze jego koleżki w spodniach, ale nie zabierze to dużo czasu.

Maigret podszedł do nieszczęśnika, pochylił się i rzeczywiście dostrzegł na klapie dziurkę wypaloną papierosem.

– Zdejmuj no to...

Pod marynarką miał tylko podartą kamizelkę.

– Jesteś pewny, że było do dziś rano?

– Mój kumpel poświadczy. To Wielki Paul, wszyscy panowie tutaj go znają.

Maigret również znał Wielkiego Paula.

– Zanieś ją do Moersa – rzekł podając marynarkę Torrence'owi. – Nie wiem, czy to możliwe, ale chyba analizy wykażą, czy wypalenie jest świeżej daty. Powiedz Moersowi, że w tym przypadku w grę wchodzi czterdzieści osiem godzin.

Rozumiesz?

– Rozumiem, szefie.

– Jeżeli materiał został wypalony ostatniej nocy lub dziś rano... – i dodał wskazując drzwi swojego gabinetu: – Jak im tam idzie?

– Lapointe kazał przynieść piwo i kanapki.

– Dla obu?

– Kanapki dla obu. Tamten wziął wodę Vichy.

Maigret pchnął drzwi do swego gabinetu. Lapointe w fotelu szefa, pochylony nad papierami, robił notatki i namyślał się przygotowując następne pytanie.

– Niepotrzebnie otworzyłeś okno. Wpuszczasz gorące powietrze.

To mówiąc Maigret zamknął okno. Moncin powiódł za nim bezbronnym wzrokiem zwierzęcia torturowanego przez dzieci.

– Pokaż no...

Przejrzał zapiski, pytania i odpowiedzi, nie zawierające nic nowego.

– A poza tym?

– Dzwonił mecenas Rivière, że podejmuje się obrony. Chciał przyjść natychmiast. Powiedziałem, żeby zwrócił się do sędziego śledczego.

– Dobrze zrobiłeś. Co jeszcze?

– Telefonował Janvier z bulwaru Saint-Germain. W biurku znalazł kolekcję noży garbarskich, wszystkie modele, mogły służyć do różnych zbrodni. W pokoju znalazł

zwykły nóż sprężynowy, ostrze nie ma więcej niż osiem centymetrów długości.

Lekarz sądowy dokonujący autopsji, doktor Paul, obszernie wypowiadał się na temat intrygującej go broni, jaką posługiwał się morderca z Montmartre'u.

Kryminaliści używają przeważnie noży rzeźniczych lub kuchennych o większych rozmiarach, a także bagnetów i sztyletów różnej grubości.

– Na podstawie kształtu i głębokości cięć – mówił – skłonny byłbym twierdzić, że zadano rany pospolitym scyzorykiem. Scyzoryk, oczywiście, złożyłby się przy uderzeniu. Musiałby zatem mieć co najmniej zatyczkę. Moim zdaniem ta broń nie jest groźna sama w sobie. Śmiertelna staje się dopiero wtedy, gdy ktoś nią zręcznie manipuluje.

– Odnaleźliśmy marynarkę, panie Moncin.

– Nad Sekwaną?

– Tak.

Rozwarł usta, ale się nie odezwał. O co chciał zapytać?

– Najadł się pan do syta?

Taca leżała jeszcze na biurku z nie dojedzoną kanapką z szynką. Butelka Vichy była pusta.

– Zmęczony?

Odpowiedział zrezygnowanym półuśmiechem. Wszystko w nim, łącznie z ubraniem, było pozbawione mocniejszych barw. Z lat chłopięcych pozostała mu pewna nieśmiałość i coś ujmującego, co trudno było określić. Zawdzięczał to jasnym włosom, cerze, niebieskim oczom, a może również słabowitemu zdrowiu?

Od jutra niewątpliwie wezmą go w obroty lekarze i psychiatrzy. Ale teraz nie trzeba działać zbyt pochopnie, bo potem może być za późno.

– Ustąp mi miejsca – rzekł Maigret do Lapointe'a.

– Mogę odejść?

– Zaczekaj obok. Daj mi znać, jeśli Moers odkryje coś nowego.

Gdy drzwi zamknęły się za inspektorem, Maigret zdjął marynarkę, opadł na fotel i oparł się łokciami o blat biurka. Przez dobrych pięć minut nie spuszczał ciężkiego spojrzenia z Marcela Moncin, który odwróciwszy głowę patrzył w okno.

– Jest pan bardzo nieszczęśliwy? – wymamrotał w końcu Maigret jakby z przymusem.

Moncin wzdrygnął się, wciąż unikał wzroku komisarza i nie od razu odpowiedział:

– Dlaczego miałbym być nieszczęśliwy?

– Kiedy pan odkrył, że nie jest taki jak inni?

Moncin nie mógł powstrzymać drżenia twarzy, ale zdobył się na drwinę:

– Pańskim zdaniem nie jestem taki jak inni?

– Wtedy gdy był pan młodym mężczyzną...

– No, co?

– Już pan wtedy wiedział?

Maigret pomyślał nagle, że gdyby dobrał właściwe słowa, runęłaby bariera między nim a tym człowiekiem nieruchomo siedzącym na krześle po drugiej stronie biurka. Wyraźnie przecież dostrzegł drżenie na jego twarzy. Nastąpił oto moment krytyczny, który trwał ledwie parę sekund, i z pewnością niewiele brakowało, żeby, na przykład, oczy Moncina zwilgotniały.

– Wie pan, że nie grozi panu ani szafot, ani więzienie, prawda?

Czyżby Maigret popełnił błąd taktyczny? Czyżby użył nieodpowiednich słów?

Moncin znowu zeszywniał, opanowany, na pozór całkiem spokojny.

– Niczym nie ryzykuję, bo nic nie zrobiłem.

– Nie zrobił pan... czego?

– Tego, o co mnie pan oskarża. Nie mam nic do dodania. Nie będę już odpowiadał.

Nie rzucał tego oświadczenia na wiatr. Wyczuwało się, że powziął decyzję i od niej nie odstąpi.

– Jak pan chce – westchnął komisarz naciskając guzik dzwonka.

Rozdział 7

Będzie, co Bóg da

Maigret pomylił się. Czy ktoś inny na jego miejscu uniknąłby tego błędu? To pytanie często będzie sobie potem zadawał i nigdy, naturalnie, nie znajdzie zadowolającej odpowiedzi.

Około trzeciej trzydzieści poszedł na górę do laboratorium.

– Dostał pan ode mnie wyniki?

– Nie.

– Pewnie rozminął się pan z urzędnikiem, przez którego je panu przesłałem. Ślad po wypaleniu na marynarce powstał co najwyżej przed dwunastoma godzinami. Jeśli pan chce, chętnie wytłumaczę...

– Nie. Jesteś pewny swojej diagnozy?

– Najpewniejszy. Niemniej przystąpię do dalszych prób. Myślę, że nie zaszkodzi wypalić jeszcze ze dwie dziury w innych miejscach, na plecach, powiedzmy. Te dziury mogą stanowić dowód, o ile sprawa pójdzie aż do sądu przysięgłych.

Maigret skinął potakująco głową i zszedł na dół. O tej porze Marcel Moncin powinien się już znajdować w wydziale ustalania tożsamości, gdzie każą mu się rozebrać do naga przed wstępnym badaniem lekarskim i pomiarami antropomorficznymi – a później, już ubranego, ale bez krawata, sfotografują go en face i z profilu.

Dzienniki zamieściły już zdjęcia Marcela Moncin, które fotoreporterzy zrobili, podczas gdy prowadzono go do gabinetu komisarza; inspektorzy zaś, również zaopatrzeni w jego zdjęcie, przebiegali Grandes-Carrières rozpytując wciąż o to samo kupców, obsługę metra, każdego, kto mógł zauważyć architekta dekoratora wczoraj lub któregoś z wieczorów w czasie jego poprzednich zbrodni.

Na dziedzińcu przed gmachem Policji Kryminalnej Maigret wsiadł do jednego z parkowanych tu samochodów i kazał się zawieźć na bulwar Saint-Germain. Otworzyła mu drzwi ta sama pokojówka.

– Pański kolega jest w salonie – oznajmiła.

Ów kolega to Janvier, który w salonie porządkował notatki z odbytej rewizji.

Obaj byli zmęczeni.

– Gdzie jego żona?

– Mniej więcej przed półgodziną prosiła, żebym jej pozwolił wypocząć.

– Jak się w ogóle zachowuje?

– Prawie jej nie widziałem. Od czasu do czasu zaglądała do pokoju, w którym byłem, i patrzyła, co robię.

– Nie pytałeś ją o nic?

– Nie dostałem od pana takiego polecenia, szefie.

– Przypuszczam, że nic ciekawego nie wykryłeś?

– Gadałem ze służącą. Pracuje u nich dopiero od sześciu miesięcy. Oni nieczęsto przyjmują gości i nieczęsto gdzieś bywają. Nie wygląda na to, by mieli serdecznych przyjaciół. Nieraz wyjeżdżają na weekend do jej rodziców, którzy są, zdaje się, właścicielami willi w Triel, gdzie mieszkają przez okrągły rok.

– Co to za ludzie?

– Ojciec był aptekarzem na placu Clichy, parę lat temu przeszedł na emeryturę.

Lapointe pokazał komisarzowi grupową fotografię zrobioną w ogrodzie. Maigret rozpoznał Marcela w jasnej kurtce i jego żonę w letniej sukience; obok mężczyzny ze szpakowatą brodą stała korpulentna kobieta, błogo uśmiechnięta, z ręką na masce samochodu.

– A to jeszcze jedno zdjęcie. Ta młoda osoba z dwojgiem dzieci to siostra pani Moncin, wyszła za właściciela warsztatu samochodowego w Levallois. Mają też brata, który mieszka w Afryce.

Pudełko pełne było różnych zdjęć, zwłaszcza Iwony Moncin, w tym jedno z pierwszej komunii, i wymagany przez tradycję portret ślubny młodej pary.

– Trochę, nie za dużo, listów w sprawach zawodowych. Nie ma chyba więcej niż dwunastu klientów. No i rachunki. O ile mogłem się zorientować, to płacą je dopiero po trzech, czterech reklamacjach dostawców.

We framudze drzwi pojawiła się pani Moncin usłyszawszy zapewne, że przyszedł Maigret, albo powiadomiona o tym przez służącą; rysy miała bardziej ściągnięte niż rankiem; zmieniła uczesanie i przypudrowała sobie twarz.

– Nie przyprowadził go pan?

– Najpierw musi nam udzielić wyczerpujących wyjaśnień co do pewnych okoliczności.

– Pan naprawdę myśli, że to on?

Maigret nie odpowiedział; nie zaprotestowała gwałtownie, ograniczyła się do wzruszenia ramionami.

– Kiedyś uświadomi pan sobie własną pomyłkę i będzie pan żałował, że wyrządził mu taką krzywdę.

– Kocha go pani?

Ledwie rzucił to pytanie, a już mu się wydało pozbawione sensu.

– Jest moim mężem – odrzekła.

Czy miało to znaczyć, że go kocha, czy też jako żona czuje się w obowiązku stać u jego boku?

– Zamknął go pan w więzieniu?

– Jeszcze nie. Jest na Quai des Orfèvres. Będzie znowu przesłuchiwany.

– Co mówi?

– Odmawia zeznań. Czy rzeczywiście nie ma mi pani nic do zakomunikowania, pani Moncin?

– Nic.

– Zdaje pani sobie sprawę, nieprawdaż, że jeśli mąż okaże się winny, a wszystko na to wskazuje, to nie czeka go ani gilotyna, ani karne roboty. I to mu właśnie powiedziałem. Nie wątpię istotnie, że lekarze uznają go za nieodpowiedzialnego za swoje czyny. Człowiek, który pięć razy na ulicy zabija kobiety, aby później pociąć ich odzież, to bezsprzecznie człowiek chory. Nie będąc w stanie krytycznym, zdolny jest wprowadzać otoczenie w błąd. I z całą pewnością wprowadza je w błąd, skoro do tej pory nikogo nie dziwiło jego zachowanie. Pani mnie słucha?

– Słucham.

Może i słuchała, ale tak, jakby wywód Maigreta nic a nic ją nie obchodził, jakby nie dotyczył jej męża. Raz po raz nawet zaczynała śledzić muchę spacerującą po tiulowej firance.

– Dotychczas pięć kobiet straciło życie i dopóki zabójca czy maniak, czy obłąkany, niech go pani nazwie, jak chce, pozostaje na wolności, życie innych kobiet jest zagrożone. Czy pojmuje pani i to, że jeśli do tej pory atakował kobiety na ulicy, to może kiedyś zmienić swój proceder i kto wie, czy jutro nie zaatakuje osoby z bliższego grona? Nie boi się pani?

– Nie.

– A nie ma pani wrażenia, że w ciągu wielu miesięcy, może lat, narażała się pani na śmiertelne niebezpieczeństwo?

– Nie.

Odpowiedzi nie brzmiały zachęcająco. Swoją postawą nie wyrażała najmniejszego wyzwania. Była spokojna, niemal pogodna.

– Widział się pan z moją świekrą? Co mówiła?

– Zaprzeczała. Czy mogę panią zapytać, dlaczego się na siebie boczycie?

– Nie chcę o tym rozmawiać. To już nieważne.

I cóż tu było więcej do powiedzenia?

– Możesz wejść, Janvier.

– Nie odeśle pan męża do domu?

– Nie.

Towarzyszyła im aż do drzwi i zamknęła je za nimi. To prawie wszystko na dzisiejsze popołudnie. Maigret jadł kolację z Lapointe'em i Janvierem; Lucas tymczasem pozostawał sam na sam z Marcelem Moncin w gabinecie komisarza. Trzeba będzie uciec się do fortelu, żeby go stamtąd wyprowadzić, bo dziennikarze i fotoreporterzy czyhali już na korytarzach i w poczekalniach.

Około ósmej parę wielkich kropli rozbiło się na bruku i wszyscy spodziewali się deszczu, ale jeśli się rozpadał, to gdzieś dalej, na wschodzie, gdzie niebo wciąż było przerażająco czarne.

Z przeprowadzeniem wizji lokalnej nie czekano na godzinę, w której poprzedniego wieczoru zdarzyła się nieudana napaść, ponieważ o dziewiątej zrobiło się zupełnie ciemno, a ulice były oświetlone tak jak wczoraj.

Maigret zszedł sam po głównych schodach rozmawiając z dziennikarzami. Lucas i Janvier udali, że wyprowadzają Marcela Moncin do Souricière – tym razem w kajdankach – na dole jednak skręcili do aresztu i tam wsadzili go do samochodu.

Po czym wszyscy spotkali się na rogu ulicy Norvins, gdzie oczekiwała ich Marta Jusserand wraz z narzeczonym.

Konfrontacja nie trwała dłużej niż kilka minut. Moncina ustawiono dokładnie w miejscu, z którego zaatakował dziewczynę. Polecono mu włożyć marynarkę z dziurą wypaloną na klapie.

– Nie było innych świateł?

Policjantka rozejrzała się wokół i potrząsnęła głową.

– Nie. Było całkiem jak teraz.

– Proszę zatem spojrzeć na niego pod tym samym kątem, pod jakim go pani zobaczyła wtedy.

Marta zrobiła parę skłonów, kilkakrotnie przesuwając Moncina.

– Poznaje go pani?

Wzruszona, z falującymi piersiami, obrzuciwszy szybkim spojrzeniem narzeczonego, który trzymał się dyskretnie na uboczu, szepnęła:

– Jestem obowiązana powiedzieć prawdę, tak?

– To pani obowiązek.

Przyjrzała mu się znowu, zdając się prosić go wzrokiem o przebaczenie, Moncin natomiast zachowywał zupełną obojętność.

– Jestem przekonana, że to on.

– Rozpoznaje go pani formalnie?

Przytaknęła i nagle – ona, dotychczas taka dzielna – wybuchnęła głośnym płaczem.

– Dziś wieczorem nie jest mi już pani potrzebna. Dziękuję – rzekł Maigret popychając ją w stronę narzeczonego. – Słyszał pan, panie Moncin?

– Słyszałem.

– Nie ma pan nic do powiedzenia?

– Nie.

– Zabierzcie go, chłopcy.

– Dobranoc, szefie.

– Dobranoc.

Maigret wszedł do samochodu.

– Do domu. Bulwar Richard-Lenoir.

Ale tym razem prosił o zatrzymanie wozu przy skwerze d'Anvers, żeby wstąpić do baru na małe piwo. Jego rola praktycznie była skończona. Jutro rano sędzia Comélieu zechce na pewno przesłuchać Moncina i przekaże go specjalistom chorób psychicznych.

Policji Kryminalnej pozostaną tylko czynności rutynowe, poszukiwanie świadków, spisywanie ich zeznań, opracowanie możliwie najpełniejszego dossier.

Dlaczego Maigret nie był z siebie zadowolony, to już inna sprawa. Z zawodowego punktu widzenia zrobił wszystko, co powinien był zrobić. Ale jeszcze nie wszystko rozumiał. „Szok” nie nastąpił. Ani razu nie miał uczucia, że nawiązuje jakiś ludzki kontakt z Marcelem Moncin.

Niepokoiliła go także postawa Iwony Moncin. Co do niej, będzie jeszcze próbował.

– Wyglądasz na straszliwie zmęczonego – zauważyła pani Maigret. – Czy to już naprawdę skończone?

– A kto tak mówi?

– Gazety. I radio.

Wzruszył ramionami: po tylu latach wierzyła w wiadomości podawane przez prasę!

– W pewnym sensie skończone, tak. Wszedł do pokoju, zaczął się rozbierać.

– Mam nadzieję, że jutro pośpisz sobie dłużej?

On też miał tę nadzieję. Czuł nie tyle znużenie, co raczej niesmak, choć nie mógłby powiedzieć, z jakiego powodu.

– Jesteś niezadowolony?

– Ależ nie. Uspokój się. Wiesz, że często taki jestem w podobnych przypadkach.

Podniecenie wywołane śledztwem i pogonią za przestępcą nagle opadło, ustępując miejsca pustce.

– Nie trzeba na to zwracać uwagi. Nalej mi kieliszeczek, żebym spał jak kłoda przez dziesięć godzin.

Nawet nie spojrzął na zegarek. Czas jakiś przewracał się z boku na bok pod

zwilgotniałym prześcieradłem; gdzieś w pobliżu zajadle czekał pies.

Zatracił poczucie czasu, poczucie rzeczywistości i kiedy obudził go dzwonek telefonu, nie wiedział, gdzie się znajduje. Dość długo zwlekał z podniesieniem słuchawki, wreszcie wyciągnął ramię tak niefortunnie, że przewrócił szklankę z wodą na nocnym stoliku.

– Halo...

Głos miał zachrypnięty.

– To pan, panie komisarzu?

– Kto mówi?

– Lognon... Przepraszam, że przeszkadzam... – rzekł Pechowiec jakby ze smutkiem.

– Tak. Słucham. Gdzie jesteś?

– Na ulicy de Maistre... – i zniżając ton dodał z żalem: – popełniono nową zbrodnię... kobieta... zabita nożem... w pociętej sukience...

Pani Maigret zapaliła światło. Zobaczyła, jak jej mąż zrywa się gwałtownie, siada na łóżku i przeciera oczy.

– Jesteś pewny? Halo! Lognon?

– Tak. To ja.

– Kiedy? A przede wszystkim, która godzina?

– Dziesięć po dwunastej.

– Kiedy to się stało?

– Mniej więcej przed trzema kwadransami. Starłem się złapać pana w biurze. Byłem w komisariacie sam, miałem dyżur.

– Jadę...

– Jeszcze jedna? – spytała żona.

Kiwnął potakująco.

– Myślałam, że zbrodniarz jest pod kluczem.

– Moncin jest w Souricière. Połącz mnie z Policją Kryminalną, a ja się tymczasem ubiorę.

– Halo... Policja Kryminalna?... Będzie mówił komisarz Maigret...

– Halo! Kto przy telefonie? – warknął Maigret. – To ty, Mauvoisin? Już wiesz o wszystkim od Lognona? Chyba nasz człowiek nie ruszył się z miejsca...? Jak?... Już sprawdziłeś?... Zajmę się tym... Natychmiast wyślij po mnie wóz... Do domu, tak...

Pani Maigret wiedziała, że w tej sytuacji najlepiej milczeć; otworzyła kredens i naląła kieliszek nalewki, którą Maigret wypił machinalnie; potem odprowadziła męża aż na podest i nasłuchiwała jego kroków, póki nie zamilkły w klatce schodowej.

Podczas drogi zaciskał zęby, nieruchomo wpatrzony przed siebie. Wysiadł trzaskając drzwiczkami, gdy zatrzymali się w miejscu źle oświetlonym, gdzie tłoczyło

się ze dwadzieścia osób.

Lognon wyszedł na spotkanie Maigreta z miną kogoś, kto oznajmia o śmierci w rodzinie.

– Siedziałem w komisariacie, kiedy mnie telefonicznie zaalarmowano. I zaraz tu przybiegłem.

Karetka pogotowia stała przy krawężniku; sanitariusze w fartuchach, tworzących jaśniejsze plamy w ciemności, czekali na dyrektywy. Paru milczących gapiów nie mogło otrząsnąć się z wrażenia.

Kobieta leżała na chodniku tuż przy murze; spływała stamtąd zygzakiem struzka ciemnej, gęstniejącej krwi.

– Nie żyje?

Ktoś zbliżył się do Maigreta, który nie od razu zorientował się, że to lekarz z dzielnicy.

– Naliczyłem co najmniej sześć ran od noża – powiedział. – Dokonałem tylko powierzchownych oględzin...

– Wszystkie ciosy w plecy?

– Nie. Ze cztery w klatkę piersiową, jeden w szyję, kiedy już upadła. Był to przypuszczalnie cios ostatni...

– I dobijający z litości! – rzekł szyderczo Maigret.

Czyż ta zbrodnia nie była i dla niego takim właśnie ciosem dobijającym z litości?

– Są rany mniej głębokie na przedramieniu i na rękach.

Zaskoczony Maigret zmarszczył brwi.

– Wiadomo już, co to za jedna? – spytał wskazując zwłoki.

– Znalazłem w jej torebce dokumenty. Niejaka Jeanine Laurent, służąca małżonków Durandeau z ulicy Clignancourt.

– Wiek?

– Dziewiętnaście lat.

Maigret wolał na nią nie patrzeć. Dziewczyna włożyła zapewne swoją najlepszą sukienkę z błękitnego tiulu, strój niemal balowy. Chyba wybierała się na tańce. Ze stopy zsunął jej się pantofelek na bardzo wysokim obcasie.

– Kto o tym powiadomił?

– Ja, panie komisarzu – odezwał się policjant z patrolu rowerowego, cierpliwie oczekujący swojej kolejki.

– Robiłem objazd z tu obecnym kolegą i zauważyliśmy na lewym chodniku...

Tyle tylko zobaczył. Pochylił się nad ciepłym jeszcze ciałem; z ran płynęła krew. Dlatego przez chwilę myślał, że dziewczyna nie umarła.

– Przewieźcie ją do Instytutu Medycyny Sądowej i trzeba zawiadomić doktora Paula. – A do Lognona:

– Wydałeś instrukcje?

– Rzuciłem na dzielnicę wszystkich ludzi, których mogłem dopaść.

Niby po co? Obławy nie dały dotychczas żadnego rezultatu. Jadący na pełnym gazie samochód zatrzymał się przed nimi z piskiem opon. Z samochodu wyskoczył mały Rougin z rozwichrzoną czupryną.

– No i co, drogi panie komisarzu?

– Kto pana powiadomił? – Maigret był rozsierdzony, agresywny.

– Ktoś na ulicy... Są jeszcze tacy, którzy wierzą w pożytek prasy... A więc znowu niewypał?

I, nie zwracając już uwagi na komisarza, podszedł do grupy ciekawskich, żeby ich rozpytać, a jego fotograf zabrał się do robienia zdjęć.

– Zajmij się resztą – mruknął komisarz do Lognona.

– Nikt z nas nie będzie panu potrzebny?

Nikt mu nie był potrzebny. Wsiadł do samochodu ze zwieszoną głową, z miną człowieka dręczonego jakąś uporczywą myślą.

– Dokąd, szefie? – spytał kierowca.

Maigret spojrzał na niego; sam nie bardzo wiedział dokąd.

– W kierunku placu Clichy albo placu Blanche.

Na Quai des Orfèvres nie miał nic do roboty. Co można było przedsięwziąć ponad to, co przedsięwzięto? Nie miał też odwagi wracać do własnego łóżka.

– Zaczekaj tu na mnie.

Wjechali na plac Blanche; niektóre kawiarniane tarasy były jeszcze oświetlone.

– Co podać?

– Cokolwiek.

– Małe piwo? Koniak?

– Piwo.

Przy sąsiednim stoliku platynowa blondynka z piersiami do połowy wystającymi z dekoltu obcisłej sukni namawiała półgłosem partnera, żeby zabrał ją do nocnego lokalu, którego neon rozbłyskiwał naprzeciw.

– Słowo daję, nie pożałujesz. Może tam i drogo, ale...

Czy aby ją rozumiał? Był Amerykaninem lub Anglikiem, potrząsał głową i powtarzał:

– *No... No...*

– Nie potrafisz nic więcej z siebie wydusić? ... *No... No...* A jeżeli ja także powiem *No* i puszcę cię kantem?...

Uśmiechał się do niej łagodnie, ona zaś niecierpliwiła się coraz bardziej, raz po raz wzywając kelnera, żeby zamówić następną kolejkę.

– I kanapkę dla mnie, bo on nie chce zjeść kolacji naprzeciwko...

Goście siedzący nieco dalej rozmawiali o rewii obejrzanej w pobliskim kabarecie. Jakiś Arab sprzedawał orzeszki ziemne. Stara kwiaciarka poznała komisarza i czym prędzej zniknęła mu z oczu.

Maigret wypalił ze trzy fajki, obserwował przechodniów na ulicy, taksówki, wsłuchiwał się we fragmenty konwersacji, jakby chciał na nowo zanurzyć się w codzienne życie.

Kobieta około czterdziestki, tęga, ale jeszcze powabna, siedząca samotnie przy stoliku nad szklanką miętowej herbaty, mrugała zachęcająco na Maigreta, nie domyślając się, kim jest.

Skinął na kelnera:

– Jeszcze raz to samo.

Musiał mieć trochę czasu, by odzyskać spokój. Pod wpływem pierwszego impulsu na ulicy de Maistre chciał biec do Souricière, wtargnąć do celi Marcela Moncin, potrząsnąć nim, zmusić go do mówienia. „Przyznaj się, łajdaku, że to ty...”

Co do tego miał niemal bolesną pewność. Niemożliwe, aby mylił się tak dalece. Przestał teraz odczuwać litość lub bodaj ciekawość, jaką budził w nim rzekomy architekt. Opanował go gniew, prawie wściekłość.

Tej wściekłości pozbywał się stopniowo, oddychając względnie rześkim powietrzem nocy, słuchając odgłosów spektaklu, jakiego dostarczała ulica.

Wiedział, że popełnił błąd, a obecnie wiedział, na czym ów błąd polegał.

Za późno myśleć o naprawieniu błędu, skoro zginęła młodziutka dziewczyna, która jak tysiące innych, przybywających rokrocznie ze wsi, próbowała szczęścia w Paryżu; ta młodziutka dziewczyna po całodziennej harówce w kuchni szła potańczyć.

Było nawet za późno, by sprawdzić podejrzenie, jakie mu się nasuwało. O tej porze nie znajdzie żadnych dowodów. A jeśli w ogóle istnieją jakieś ślady, jeśli uda się zdobyć te dowody – można z tym poczekać do rana.

Ludzie Maigreta, tak jak i on, padali wprost z nóg ze zmęczenia. Sprawa za długo się ciągnęła. Kiedy jutro w metrze bądź w autobusie jadąc na Quai des Orfèvres przeczytają gazety, ogarnie ich osłupienie, rozpacz, jakich on sam niedawno doznał. Czy ten i ów nie straci do niego zaufania?

Lognon, gdy telefonował do Maigreta, był zakłopotany; na ulicy de Maistre miał minę kogoś, kto składa kondolencje.

Maigret wyobrażał sobie reakcję sędziego Comélieu, jego władczy głos w słuchawce zaraz po lekturze porannej prasy.

Ociężale powlókł się do baru w głębi piwiarni i poprosił o żeton. Żeby zadzwonić do żony.

– To ty? – wykrzyknęła ze zdziwieniem.

– Chce cię tylko uprzedzić, że nie wrócę na noc.

Zresztą bez wyraźnej przyczyny. Nie miał na razie nic do załatwienia poza przetrwaniem własnych myśli. Pragnął jednak znaleźć się w rodzinnej atmosferze Quai des Orfèvres, swego biura, w obecności kilku swoich ludzi.

Nie chciało mu się spać. Będzie na to czas, gdy zamknie śledztwo definitywnie, może nawet zdecyduje się wtedy wziąć urlop.

Zawsze tak bywało. Obiecywał sobie wakacje i nagle, w ostatniej chwili znajdował powód, by zostać w Paryżu.

– Kelner, rachunek!

Zapłacił i ruszył tam, gdzie oczekiwał na niego mały samochód policyjny.

– Na Quai des Orfèvres.

Zastał w biurze Mauvoisina i paru innych; jeden raczył się kiełbasą, zapijając ją czerwonym winem.

– Nie przeszkadzajcie sobie, chłopcy. Nic nowego?

– W kółko to samo. Zbierają informacje od przechodniów. Zatrzymano dwóch cudzoziemców, bo nie mieli papierów w porządku.

– Zatelefonuj do Janviera i Lapointe'a. Powiedz, żeby byli tu rano o piątej trzydzieści.

Około godziny, sam w gabinecie, czytał dwukrotnie protokół z zeznań, zwłaszcza matki Marcela Moncin i jego żony.

Potem rozparł się w fotelu i z koszulą rozwartą na piersi zdawał się drzemać. Może nawet zasnął? Tak czy owak nie słyszał kroków Mauvoisina, który zajrzał do gabinetu i wycofał się na palcach.

Szyby w oknach pobladły, niebo zszarzało, potem zrobiło się błękitne i wreszcie wychynęło słońce. Mauvoisin wszedł po raz drugi, niosąc kubek kawy zaparzonej na maszynie elektrycznej. Zjawił się Janvier, lada moment przyjdzie Lapointe.

– Która godzina?

– Piąta dwadzieścia pięć.

– Są już tutaj?

– Janvier. A Lapointe...

– Jestem, szefie! – rozległ się głos Lapointe'a.

Lapointe i Janvier byli świeżo ogoleni, ich koledzy po nocnym dyżurze mieli policzki zarośnięte, cerę ziemistą.

– Chodźcie no obaj.

Czy popełniał nowy błąd, nie kontaktując się natychmiast z sędzią Comélieu? Jeśli nawet, to podobnie jak w innych przypadkach brał na siebie całą odpowiedzialność.

– Ty, Janvier, pojedziesz na ulicę Caulaincourt. Weź z sobą kolegę, któregoś z najbardziej wypoczętych.

– Do starej?

– Tak. Sprowadzisz ją do mnie. Prawdopodobnie będzie się opierać.

– Na pewno.

Maigret podał mu kartkę papieru, którą podpisał z pasją, jakby chciał przy tym roztrzaskać pióro.

– Pokażesz jej to wezwanie. A ty, Lapointe, wybierzesz się po panią Moncin na bulwar Saint-Germain.

– Da mi pan również wezwanie?

– Tak. Jeśli o nią chodzi, to myślę, że wezwanie nie będzie konieczne. Umieściecie je obie w jakimś wolnym pokoju biurowym, zamkniecie na klucz i wróćcie mnie o tym powiadomić.

– Baron i Rougin są w korytarzu.

– Do licha!

– To niedobrze?

– Nie szkodzi. Mogą je zobaczyć.

Kiedy Lapointe i Janvier przeszli do pokoju inspektorów, gdzie paliły się jeszcze lampy, Maigret otworzył swoją szafę ścienną. Trzymał w niej zawsze przybory do golenia. Przy goleniu zaciął się lekko nad górną wargą.

– Masz jeszcze kawę, Mauvoisin? – zawołał.

– Chwileczkę, szefie. Właśnie zaparzam drugą porcję.

Ożyły już pierwsze holowniki ciągnące na linie różaniec barek w dół lub w górę Sekwany. Kilka autobusów mijało most Saint-Michel, prawie pusty, a w pobliżu mostu, z nogami zwieszonymi nad ciemną wodą, siedział wędkarz.

Maigret kręcił się po biurze, omijając korytarz i dziennikarzy; inspektorzy unikali stawiania mu jakichkolwiek pytań, nie patrzyli mu w oczy.

– Lognon nie telefonował?

– Dzwonił koło czwartej, mówił, że nic nowego; ta mała rzeczywiście szła na tańce do lokalu przy placu du Tertre. Bywała tam raz w tygodniu, nie miała stałego amanta.

– Sama tam chodziła?

– Tak myślą ci chłopcy, ale nie są pewni. Według nich była to przyzwoita dziewczyna.

Z korytarza doleciał ich wysoki kobiecy głos, słów jednak nie dawało się pochwycić.

Zaraz potem zameldował się Janvier z miną człowieka, który spełnił niezbyt przyjemną misję.

– Zrobione. Ale nie bez trudności.

– Była jeszcze w łóżku?

– Tak. Najpierw kłóciła się ze mną przez drzwi, nie chciała mnie wpuścić.
Musiałem zagrozić, że zawołam ślusarza. Skończyło się na tym, że włożyła szlafrok.

– Czekaleś, aż się ubierze?

– Na schodach. Nie wpuszczala mnie do mieszkania.

– Teraz jest sama?

– Tak. Oto klucz od pokoju.

– Czekaj na Lapointe’a w korytarzu.

Upłynęło jeszcze z dziesięć minut, zanim obaj inspektorzy stawili się u Maigreta.

– Już tam siedzą?

– Tak.

– Odbyło się bez scysji?

– Spojrzały tylko na siebie i udały, że się nie znają.

Janvier wahał się, w końcu jednak zaryzykował pytanie:

– I co teraz?

– Na razie nic. Siądź przy drzwiach w pokoju obok. Staraj się posłyszeć, co mówią, jeśli zdecydują się rozmawiać.

– A jeżeli nie?

Maigret zrobił niewyraźny gest ręką. Czyżby chciał powiedzieć: „Będzie, co Bóg da”?

Rozdział 8

Zły humor Marcela Moncin

Do dziewiątej rano obie kobiety zamknięte w ciasnym pomieszczeniu nie odezwały się do siebie ani słowem. Ponieważ nie było tu foteli, siedziały bez ruchu na zwykłych krzeselkach jak w poczekalni u lekarza czy dentysty, ale pozbawione możliwości przeglądania czasopism.

– Jedna wstała, żeby otworzyć okno, i siadła z powrotem. Nic więcej nie było słychać – rzekł Janvier do oczekującego na meldunek Maigreta.

Maigret dopiero teraz pomyślał, że któraś z nich może nie wiedzieć o morderstwie dokonanym tej nocy.

– Niech ktoś zanieś tam plik gazet i rozrzuci je na biurku niby tak jak co dzień. I to w taki sposób, żeby one mogły dojrzeć nagłówki.

Comélieau telefonował już dwa razy, najpierw z domu, przejrawszy prasę przy śniadaniu, potem z Pałacu Sprawiedliwości.

– Powiedz mu, że widziano mnie w biurze i że mnie szukacie.

Pewną ważną kwestię zdążyli już rozstrzygnąć inspektorzy, których z samego rana posłał na wywiad. Co do matki Marcela Moncin sprawa okazała się prosta: jako właścicielka domu miała swój klucz, mogła więc wyjść z kamienicy i wrócić o każdej porze nocy, nie budząc dozorczyń. Ta zaś gasiła u siebie światło i kładła się spać o dziesiątej, najpóźniej o wpół do jedenastej.

Co do państwa Moncin z bulwaru Saint-Germain, nie mieli oni własnego klucza. Dozorczyń szła do łóżka dopiero około jedenastej. Czyżby dlatego – z wyjątkiem ostatniej nocy – napaści zdarzały się dość wczesnym wieczorem? Przed zamknięciem drzwi frontowych dozorczyń mało uwagi zwracała na lokatorów powracających z kina, teatru lub przyjęcia u znajomych. Około pół do szóstej rano wystawiała pojemniki ze śmieciami na trotuar, potem kończyła w służbówce toaletę, a bywało, że pozwalała sobie jeszcze na godzinkę drzemki.

Dawałoby to Marcelowi Moncin okazję do wymknięcia się z domu po nieudanym zamachu i do pozbycia się garnituru na nadbrzeżnym bulwarze.

A czy jego żona mogła wczoraj wieczorem opuścić dom i wrócić późno,

przypuszczalnie po północy, nie budząc dozorczyń?

Inspektor, który zbierał informacje na bulwarze Saint-Germain, twierdził jednak, że to możliwe.

– Konsjerżka oczywiście powiada, że to niemożliwe – tłumaczył komisarzowi. – Lokatorzy są innego zdania. Odkąd ta kobieta owdowiała, wypija co wieczór parę kieliszków...

Muszą czasem dwa, trzy razy dzwonić, nim otworzy, i jest na pół śpiąca, nie słyszy pewnie nazwisk, które jej w przejściu podają.

Różne inne informacje napływały chaotycznie, niektóre przez telefon. Dowiedziano się na przykład, że małżonkowie Moncin znali się od dziecka, uczyli się w tej samej szkole. Pewnego lata żona aptekarza z bulwaru Clichy zabrała dziewięcioletniego Marcela na wakacje, które wraz ze swymi dziećmi spędzała w willi wynajętej w Etretat.

Dowiedziano się również, że długie miesiące młoda para mieszkała na ulicy Caulaincourt, w kamienicy starszej pani Moncin i na tym piętrze co ona.

O wpół do dziesiątej Maigret powziął decyzję.

– Sprowadźcie Moncina z Souricière. Jeżeli, naturalnie, nie siedzi już u sędziego.

Janvier na swoim stanowisku obserwacyjnym usłyszał, jak obie kobiety wstają; po charakterystycznym szeleście papieru domyślił się, że przeglądają gazety. Nie rozległ się jednak żaden głos.

Pogoda znów była słoneczna, choć upał nieco zelżał dzięki wietrzykowi, który potrząsał liśćmi drzew i od czasu do czasu buszował w szpargałach na biurku.

Moncin wszedł bez słowa, spojrzał na komisarza, ledwie dostrzegalnie skinął mu głową i czekał, aż zostanie zaproszony do zajęcia krzesła. Nie miał możliwości ogolić się i jasny zarost na brodzie czynił jego twarz mniej wyrazistą, rysy stały się jakby bardziej miękkie, zamazane, niewątpliwie także wskutek zmęczenia.

– Powiedziano panu, co stało się dzisiejszej nocy?

– Nikt mi nic nie mówił – odparł z cieniem wyrzutu.

– Niech pan czyta.

Maigret podał mu dziennik, który zamieszczał najwięcej szczegółów o morderstwie na ulicy de Maistre. Podczas gdy Moncin czytał, komisarz nie spuszczał z niego oczu; ostatecznie upewnił się o słuszności swoich przewidywań: *pierwszą reakcją Moncina było zmieszanie*; zaskoczony, z niezadowoleniem marszczył brwi.

„Pomimo aresztowania dekoratora nowa ofiara na Montmartrze”

Przez krótki moment podejrzewał zasadzkę: umyślnie sfalszowano wiadomość, żeby go zmusić do zeznań. Czytał z uwagą, sprawdził datę na górze strony, upewnił

się, że fakt jest prawdziwy.

Czyżby poczuł gniew, że mu zepsuto zabawę?

Jednocześnie nie przestawał myśleć, usiłował zrozumieć – i zdawało się, że w końcu znalazł rozwiązanie zagadki.

– Jak pan widzi – odezwał się Maigret – ktoś próbuje pana ratować. I to kosztem życia biednej dziewczyny, dopiero co przybyłej do Paryża.

Czyżby przelotny uśmiech pojawił się na ustach Moncina? Powstrzymał go co prawda, ale i tak się zdradził z dziecięcą, szybko opanowaną satysfakcją.

– Obie są tutaj... – rzekł półgębkiem Maigret udając, że na niego nie patrzy.

Dziwna to była walka, jako że Maigret nie uświadamiał sobie, kiedy ją podjął. Ani jeden, ani drugi nie poruszali się po twardym gruncie. Liczył się tu każdy najdrobniejszy ruch, liczyło się każde spojrzenie, drganie warg, mrugnięcie powiek.

Moncin był zmęczony, ale Maigret jeszcze bardziej, a poza tym czuł odrazę do tego wszystkiego. Raz jeszcze ogarnęła go chęć, by przekazać sprawę – w jej obecnym stadium – sędziemu Comélieu... niechaj sam sobie radzi.

– Zaraz je tu sprowadzą i wszystko sobie wyjaśnicie.

Co czuł teraz Moncin? Wściekłość? Może. Spojrzenie niebieskich oczu jakby zastężyło w skupieniu, szczęki zacisnęły się. Z wyrzutem popatrzył na komisarza. A może bał się podobnie jak wczoraj, bo na czole i na górnej wardze wystąpiły mu krople potu.

– Jest pan wciąż zdecydowany milczeć?

– Nie mam nic do powiedzenia.

– Nie sądzi pan, że już pora z tym skończyć? Nie myśli pan, Moncin, że jest tu co najmniej o *jedno przestępstwo* za dużo? Gdyby pan zeznał wczoraj, nie zostałyby ono popełnione.

– Nie mam z tym nic wspólnego.

– Wie pan, nieprawdaż, która z nich wpadła na ten niedorzeczny pomysł, aby pana ocalić?

Już się nie uśmiechał. Przeciwnie, zeszywniał, jak gdyby miał pretensję do tej, która to zrobiła.

– Powiem, co ja osobiście o panu myślę. Pan jest przypuszczalnie człowiekiem chorym, chcę bowiem wierzyć, że człowiek zdrowy na umyśle nie postąpiłby tak w żadnym wypadku. Ten problem winni rozstrzygnąć psychiatrzy. Tym gorzej, jeśli potwierdzą pańską odpowiedzialność za czyny.

Maigret ciągle go obserwował.

– Proszę przyznać, że będzie pan dotknięty, kiedy uznają pana za osobnika niepoczytalnego.

Krótki błysk pojawił się istotnie w bladych oczach Moncina.

– Mniejsza o to. Był pan zwykłym, normalnym dzieckiem, przynajmniej na pozór. Synem rzeźnika. Ten fakt pana upokarzał?

Maigret nie potrzebował odpowiedzi.

– Upokarzał również pańską matkę; widziała w panu arystokratę, który zabłąkał się na ulicę Caulaincourt. Nic nie wiem o pana dzielnym ojcu. Pana matka przechowuje pieczołowicie tyle zdjęć, a nie znalazłem wśród nich żadnej jego fotografii. Wstydzi się go zapewne. Natomiast pana od wczesnego dzieciństwa obfotografowano we wszystkich pozach. Gdy miał pan sześć lat, sprawiono panu kosztowny strój markiza na bal kostiumowy. Kocha pan matkę, panie Moncin?

Moncin nadal zachowywał milczenie.

– Czy w końcu nie zaczęła panu ciążyć tego rodzaju troskliwość, takie traktowanie, jakby pan był istotą delikatną, wymagającą ustawicznej opieki? Mógł pan zbuntować się jak tylu innych w podobnej sytuacji, mógł pan zerwać więzy. Niech mnie pan uważnie słucha, Moncin. Ci, którzy się potem panem zajmą, nie będą owijać prawdy w bawełnę. Dla mnie pozostaje pan istotą ludzką. Czy nie rozumie pan, że to właśnie usiłuję w panu obudzić: małą iskierkę ludzką? Nie zbuntował się pan dlatego, że odznacza się pan lenistwem i niepomierną dumą. Inni rodzą się z tytułem, fortuną, ze służbą, z całym aparatem komfortu i luksusu. Pan miał tylko matkę, która panu to wszystko zastępowała. Cokolwiek by się panu przydarzyło, matka zawsze byłaby obok. I pan o tym wiedział. Mógł pan sobie na wszystko pozwolić. Ale musiał pan za to płacić uległością. Należał pan do matki. Był jej rzeczą. Nie miał pan prawa być mężczyzną jak inni. Czy to ona, w obawie, że zacznie pan miewać przygody, nakłoniła pana do ożenku w wieku lat dwudziestu?

Moncin patrzył uporczywie na Maigreta, ale nie sposób było odgadnąć, o czym myśli. Jedno wydawało się pewne: czuł się pochlebiony, że ktoś się nim interesuje, że człowiek rangi Maigreta pochyla się nad nim, analizuje jego czyny, myśli i dotyczące go fakty.

Czy nie zareagowałby, nie zaprzeczył, gdyby się komisarz w czymś pomylił?

– Nie sędzę, żeby kiedykolwiek był pan zakochany, bo zanadto jest pan zajęty sobą. Poślubił pan Iwonę dla świętego spokoju, może w nadziei na wyzwolenie się spod wpływów matki. Ten podłotek, młodziutka dziewczyna podziwiała jasnowłosego, eleganckiego chłopca. Wydawał się ulepiony z lepszej gliny niż jego koledzy. Chociaż był synem rzeźnika. Pana matka dała się nabrać: uważała Iwonę za gąskę, którą przerobi na swoją modłę, i odstąpiła wam obojgu mieszkanie na tym samym piętrze, żeby bardziej was uzależnić. Ale to wszystko jeszcze nie tłumaczy, dlaczego człowiek zabija. Właściwe wytłumaczenie nie nadejdzie od lekarzy, oni także, podobnie jak ja, naświetlą zaledwie jeden z aspektów problemu. Tylko pan zna ten problem w całości. Co do mnie, jestem przekonany, że nie będzie pan zdolny go

wyjaśnić.

Tym razem udało mu się wywołać na twarzy Moncina wyzywający uśmiech. Czyżby znaczyło to, że gdyby chciał, potrafiłby wytłumaczyć swoje postępowanie w sposób dla wszystkich zrozumiały?

– Już kończę. Gaska okazała się nie tylko prawdziwą kobietą, ale też kobietą równie zaborczą, jak pana matka. Rozpoczęła się między nimi walka. Gra, w której pan był stawką. I niewątpliwie skłaniał się pan to ku jednej, to ku drugiej. Pierwszą rundę wygrała pańska żona, bo udało jej się wyrwać pana z ulicy Caulaincourt i osadzić na bulwarze Saint-Germain. Otworzyła przed panem nowe horyzonty, postarała się o nowe otoczenie, o nowych przyjaciół, ale od czasu do czasu wymykał się pan na Montmartre. Czy nie wtedy zaczął się pan buntować przeciw Iwonie, jak poprzednio buntował się pan przeciw matce? *I jedna, i druga, Moncin, przeszkadzała panu być mężczyzną!*

Architekt dekorator obrzucił Maigreta spojrzeniem pełnym urazy i utkwiał wzrok w podłogę.

– Tak pan to sobie wyobrażał i usiłował pan w to wierzyć. Ale w głębi ducha wiedział pan dobrze, że tak nie było. Pan nie miał odwagi stać się mężczyzną. I nie stał się nim pan. Potrzebował pan ich obu, klimatu, jaki stwarzały dokoła pana, ich starań, ich uwielbienia, ich pobłażania. I właśnie to pana upokarzało.

Maigret zbliżył się do okna, żeby nabrać tchu, i otarł chustką spocone czoło; nerwy miał rozdygotane jak aktor utożsamiający się z człowiekiem w stanie paroksyzmu.

– Nie odpowie mi pan, niech tak będzie, i nawet wiem, dlaczego trudno panu odpowiedzieć: zanadto by to zraniło pańską miłość własną. Odczuwa pan boleśnie to tchórzostwo, ten kompromis, w jakich pan żył. Ile razy miał pan ochotę zabić? Nie mówię o biednych nieznanym dziewczynach atakowanych na ulicy. Mówię o pańskiej matce i żonie. Założyłbym się, że w dzieciństwie lub w wieku dojrzewania nawiedzała pana myśl, by uwolnić się, by zabić matkę. Nie projekt, nie, po prostu przelotna myśl, o której natychmiast się zapomina, a którą przypisuje się porywom gniewu. Podobnie było później z Iwoną... Był pan więźniem ich obu, karmiły pana, pielęgnowały, pieściły, a zarazem uważały za swoją własność. Za rzecz, za skarb, który sobie wzajem wydzierały. I tak oto pan, wzięty w dwa ognie, między ulicą Caulaincourt i bulwarem Saint-Germain, upodabiał się do cienia, byle tylko mieć spokój. W jakim momencie, dlaczego, pod działaniem jakich emocji, jakich upokorzeń, bardziej dotkliwych niż zwykle, następowało załamanie, kryzys? Nie wiem. Tylko pan mógłby na to odpowiedzieć, ale nawet co do tego nie mam pewności. Tak czy owak ta myśl z wolna nabierała kształtu, początkowo mglista, kazała panu szukać możliwości sprawdzenia samego siebie... Jak się sprawdzić? Nie

w zawodzie, bo zdaje pan sobie sprawę, że jest pan artystą miernym i co gorsza amatorem. Nikt pana nie traktuje poważnie. Więc jak się sprawdzić? Przez jaki akt odwagi? Bo żeby zadowolić dumę, musiał pan dokonać czegoś nadzwyczajnego, o czym by się powszechnie mówiło, czegoś, co dałoby panu przewagę nad tłumem. Czy wtedy pomyślał pan o zabiciu obu kobiet? Byłoby to niebezpieczne. Podejrzenie automatycznie padłoby na pana, a pana nie miałyby już kto osłaniać, podtrzymywać na duchu. A przecież do nich, do obu władczych samic czuł pan urazę. I tę urazę skierował pan przeciw kobietom przypadkowo spotkanym na ulicy. Czy odkrycie, że jest pan zdolny do zabijania, przyniosło panu ulgę, Moncin? Czy miał pan wrażenie, że jest pan mężczyzną?

Maigret patrzył mu twardo w oczy; Moncin przywarł plecami do oparcia krzesła i omal nie przewrócił się do tyłu.

– Odkąd istnieje świat, zabijanie uważane jest za zbrodnię największą, i dlatego niektórzy sądzą, że wymaga to wyjątkowej odwagi. Przypuszczam, że po raz pierwszy 2 lutego odczuł pan ulgę, chwilowe upojenie. Działał pan ostrożnie, ponieważ nie chciał pan zapłacić za to, bał się pan szafotu, więzienia czy zakładu dla obłąkanych. Należy pan do burżuazji, panie Moncin, jest pan kryminalistą wydelikacjonem, nawykłym do komfortu, dbałym o drobne wygody. Dlatego też w pierwszej chwili, gdy pana zobaczyłem, skłonny byłem zastosować metody, które zarzuca się policji. Obawiał się pan bicia, cierpień fizycznych... Gdybym panu dał pięścią w twarz, zwałiby się pan na ziemię i kto wie, czy ze strachu przed drugim ciosem nie wolałby pan zeznawać.

Porwany narastającym stopniowo gniewem, Maigret wyglądał z pewnością bardzo groźnie, skoro Moncin skulił się przerażony.

– Niech się pan nie boi. Nie uderzę pana. Szczerze mówiąc, zadaję sobie pytanie, czy akurat pana obwiniam najbardziej. Wykazał się pan inteligencją. Wybrał pan dzielnicę, w której zna pan wszystkie kąty, jak ci, co tam mieszkają od dziecka. Wybrał pan broń, która nie robi hałasu, a jednocześnie podczas ataku dawała ona panu satysfakcję fizyczną. Bez porównania większą niż pociągnięcie za cyngiel czy podanie trucizny. Potrzebny był panu gest porywczy, gwałtowny. Musiał pan niszczyć, czuć, że pan niszczy. Sam cios nie wystarczał, później musiał pan wyładować wściekłość jak mały chłopiec. Rozcinał pan suknie i bieliznę; psychiatrzy niewątpliwie dopatrzą się w tym pewnego symbolu. Nie gwałcił pan swoich ofiar, bo nie jest pan do tego zdolny, bo nigdy nie był pan prawdziwym mężczyzną.

Moncin nagle podniósł głowę i z zaciśniętymi szczękami spojrzał na Maigreta, jakby gotów skoczyć mu do oczu.

– Suknie, halki, majtki, biustonosze, całą tę kobiecość darł pan na strzępy. Zastanawiam się, czy któraś z nich, matka lub żona, nie miała żadnych podejrzeń,

niekoniecznie za pierwszym razem, ale po następnych... Kiedy udawał się pan na Montmartre, mówił pan żonie, że idzie do matki? Nie skojarzyły sobie tych odwiedzin z morderstwami? Widzi pan, panie Moncin, będę pana pamiętać do końca życia, ponieważ w całej mojej karierze żadna sprawa nie poruszyła mnie tak głęboko, nie zaabsorbowała mnie tak bardzo... Wczoraj po pańskim aresztowaniu one obie nie łudziły się, że jest pan niewinny. I jedna z nich postanowiła pana ratować. Jeśli to pana matka, to miała dwa kroki na ulicę de Maistre. Jeśli to pana żona, to zakładając, iż pana zwolnimy, należy przypuszczać, że godziła się na dalsze życie u boku mordercy. Nie odrzucam żadnej z hipotez. Od rana obie kobiety przebywają tu, w biurze, i w ciągu pierwszej godziny, siedząc sam na sam, nie odezwały się do siebie.

Ta, która zabiła, jest tego świadoma. Ta niewinna wie, że zabiła ta druga, i kto wie, czy nie jest o to skrycie zazdrosna. Przecież od lat toczyła się między nimi walka: każda z nich chciała dowieść, że bardziej pana kocha, że ma do pana większe prawa. A zatem jak inaczej, niż ratując pana, mogła udowodnić, że jest pan jej wyłączną własnością?

Przerwał mu dzwonek telefonu.

– Halo!... Tak, to ja... Tak, panie sędzio... Jest tutaj... Przepraszam, ale potrzebuję jeszcze godziny... Nie, prasa nie łże... Jeszcze z godzinę... Obie są w gmachu.

Zniecierpliwiony odłożył słuchawkę i rozwarł drzwi do pokoju inspektorów:

– Wprowadźcie obie kobiety.

Musiał temu położyć kres. Wiedział, że jeśli od razu, z rozpędu, nie osiągnie celu, to nie będzie zdolny doprowadzić sprawy do końca.

Domagał się od sędziego tylko godzinnej zwłoki nie dlatego, że był pewny siebie – prosił o nią trochę jak o jałmużnę. Za godzinę przekaże akta i Comélieu zrobi z nimi, co zechce.

– Proszę wejść, mesdames.

O podnieceniu Maigreta świadczyły jedynie szczególna wibracja głosu i przesadnie spokojne ruchy, gdy każdej z kobiet podsuwał krzesło.

– Nie próbuję was oszukiwać. Zamknij drzwi, Janvier. Nie, nie wychodź. Będziesz protokołować. Powtarzam, nie chcę was oszukiwać mówiąc, że Moncin złożył zeznanie. Mógłbym każdą z was przesłuchiwać osobno. Ale, jak widzicie, postanowiłem zrezygnować ze sztuczek zawodowych.

Matka, która nie chciała usiąść, zbliżyła się do komisarza i rzekła sucho:

– Niech pan milczy! Nie teraz...

Iwona Moncin przysiadła grzecznie na brzeżku krzesła niczym młoda dama na wizycie. Obrzuciwszy męża przelotnym spojrzeniem, nie spuszczała teraz oczu z komisarza, jak gdyby – nie zadowolając się słowami – śledziła każde poruszenie jego warg.

– Czy przyzna się, czy nie przyzna, zabił pięć razy i wy o tym wiecie, bo lepiej niż ktokolwiek znać jego słabości. Prędzej czy później zostanie to udowodnione. Prędzej czy później skończy w więzieniu albo w zakładzie psychiatrycznym. Jedna z was wyobraziła sobie, że popełniając nową zbrodnię odwróci od niego podejrzenie. Pozostaje dowiedzieć się, która z was zabiła tej nocy niejaką Jeanine Laurent na rogu ulicy de Maistre.

– Może nas pan przesłuchiwać, ale tylko w obecności adwokata – odezwała się matka. – Zabroniłam im obojgu mówić. Mamy prawo do legalnego obrońcy.

– Niechże pani siada, chyba że chce pani zeznawać.

– Ja zeznawać! Tego by jeszcze brakowało! Postępuje pan jak... jak gbur, jak...

W ciągu godzin spędzonych sam na sam z synową nagromadziła w milczeniu tyle żalów i pretensji, że wyrażenie czegokolwiek przychodziło jej z trudem.

– Niechże pani wreszcie usiądzie. Jeżeli się pani nie opanuje, powiem inspektorowi, aby zaprowadził panią gdzie indziej i przesłuchiwał, a ja w tym czasie zajmę się pani synem i synową.

Ta perspektywa od razu ją uspokoiła. Zmieniła się w okamgnieniu. Z przerażenia otworzyła usta, potem przybrała taki wyraz twarzy, jakby miała wykrzyknąć: „To się jeszcze zobaczy!”

Czyż nie była matką? Czyż jej niezaprzeczalne prawa nie były starsze od praw nabytych przez smarkulę, którą jej syn tyle tylko że poślubił?

Nie wyszedł z łona tej dziewczyny, lecz z jej łona, z łona matki.

– Jedna z was – podjął Maigret – miała nadzieję ocalić Moncina i, podczas gdy on siedział pod kluczem, dokonała zbrodni podobnej do jego zbrodni, bo dawno o nich wiedziała, jestem o tym przekonany. Miała więc odwagę przebywać z nim dzień w dzień pod jednym dachem, bez żadnego zabezpieczenia, bez szansy na ratunek, gdyby przyszło mu do głowy zabić i ją z kolei. Ta z was kocha go na swój sposób dostatecznie, by...

Uwagi Maigreta nie uszło spojrzenie, jakie pani Moncin posłała synowej. Nigdy chyba nie widział takiego ogromu nienawiści w ludzkich oczach.

Iwona nawet nie drgnęła. Z rękoma złożonymi na torebce z czerwonego safianu, wydawała się wciąż zahipnotyzowana przez Maigreta, nie spuszczała wzroku z jego twarzy.

– Oto co chcę w końcu powiedzieć: Moncin zapewne ocali swoją głowę. Psychiatrzy, jak zawsze, nie będą się z sobą zgadzać, wdadzą się przed sądem w fachowe polemiki, z których sędziowie nic nie rozumieją. Jest zatem możliwość, że oskarżony skorzysta na wątpliwościach ekspertów i w takim wypadku spędzi resztę swoich dni w zakładzie dla obłąkanych.

Wargi Moncina zadrżały. Co myślał w tym momencie? Pewnie bał się śmiertelnie

gilotyny, bał się także więzienia. Ale czy nie przerażał go dom wariatów z potwornymi scenami, jakie, zdaniem ogółu, tam się rozgrywają?

Maigret mógłby się założyć, że Moncin nie wahałby się przerwać milczenia, gdyby mu obiecano oddzielny pokój i pielęgniarkę, gdyby miał prawo do specjalnych zabiegów pod czujną opieką znakomitych profesorów.

– Co do kobiety, która zabiła, rzecz przedstawia się inaczej. Od sześciu miesięcy Paryż żyje w strachu, a ludzie nie wybaczą tym, którzy ich o lęk przyprowadzą. Na ławie przysięgłych zasiądą paryżanie, ojcowie i mężowie kobiet, które gdzieś na ulicy mogły zginąć pod ciosami noża Moncina. Tym razem nie będzie już mowy o obłudzie. Według mnie, kobieta poniesie wszystkie koszty. I ona o tym wie. To jedna z was. Jedna z was ryzykowała własne życie, żeby ratować mężczyznę, a ściślej mówiąc, żeby nie stracić swojej własności.

– Jestem gotowa umrzeć dla mojego syna! – zawołała nagle pani Moncin, wyraźnie rozdzielając sylaby. – To moje dziecko! Nic mnie nie obchodzi dziwki włóczące się nocą po Montmartrze!

– Zabiła pani Jeanine Laurent?

– Nie znam jej nazwiska.

– Wczoraj w nocy popełniła pani zbrodnię na ulicy de Maistre?

Zawahała się, spojrzała na Marcela i wreszcie rzekła:

– Tak.

– Wobec tego czy może mi pani określić, jakiego koloru sukienkę miała na sobie ofiara?

Na prośbę Maigreta dzienniki nie podały tego szczegółu.

– Ja... było za ciemno, żeby...

– Przepraszam, zapomina pani, że działo się to najwyżej pięć metrów od latarni...

– Nie zwróciłam uwagi.

– A jednak pocięła pani tę sukienkę...

Zbrodni dokonano w odległości ponad pięćdziesięciu metrów od najbliższej latarni gazowej. Zapadła cisza i w ciszy rozległ się głos Iwony Moncin.

– Sukienka była niebieska – powiedziała spokojnie jak uczennica w klasie.

Nieporuszona, z uśmiechem obróciła się do świekry, patrząc na nią wyzywająco. Bo czyż we własnym pojęciu nie ona wygrała partię?

– Była niebieska, rzeczywiście – westchnął Maigret, nareszcie odprężony.

Doznał ulgi tak nagłej, tak gwałtownej, że aż łzy napłynęły mu do oczu – może zresztą był to skutek zmęczenia.

– Dokończysz za mnie, Janvier – burknął wstając i biorąc z biurka pierwszą z brzegu fajkę.

Matka Moncina skuliła się, nagle postarzała o dziesięć lat, jakby pozbawiono ją

jedynej racji istnienia.

Nie rzuciwszy okiem na Moncina, który siedział ze zwieszoną głową, Maigret wyszedł na korytarz i zaczął przepychać się przez tłum reporterów.

– Kto to taki? Już wiadomo?

Kiwnął potakująco, wykrztusił:

– Zaraz... za kilka minut...

I szybko ruszył w stronę małych oszklonych drzwi wiodących do Pałacu Sprawiedliwości.

Nie dłużej niż kwadrans zabawił u sędziego Comélieu. Po powrocie wydał dyspozycje swoim ludziom.

– Trzeba zwolnić matkę, oczywiście. Comélieu chce jak najwcześniej widzieć tamtych dwoje.

– Razem?

– Najpierw razem. I to on przekaże prasie komunikat...

Był ktoś, z kim Maigret chętnie by się zobaczył, ale nie w biurze, nie na korytarzach czy w salach zakładu psychiatrycznego: to profesor Tissot, z którym miał ochotę przeprowadzić długą rozmowę jak wtedy wieczorem w salonie państwa Pardon.

Nie mógł jednak prosić doktora Pardon, by im zorganizował ponowne spotkanie, a był zbyt wyczerpany, żeby jechać do Świętej Anny i czekać tam, aż profesor wygospodaruje dla niego trochę czasu.

Pchnął drzwi do pokoju inspektorów, wszyscy obrócili się ku niemu.

– Skończone, chłopcy...

Zawahał się. Popatrzył kolejno na swych współpracowników, uśmiechnął się do nich zmęczonym uśmiechem i oznajmił:

– Idę się położyć.

Mówił prawdę: nieczęsto czuł się tak znużony nawet po nie przespanej nocy.

– Powiecie dyrektorowi... – A w korytarzu rzekł do reporterów: – Proszę do sędziego Comélieu... on was poinformuje na bieżąco...

Widzieli, jak schodzi głównymi schodami, samotny, przygarbiony; jak na pierwszym podejściu zatrzymuje się, żeby spokojnie zapalić fajkę, którą dopiero co przeczyścił.

Na dziedzińcu jeden z kierowców zapytał go, czy nie potrzebny mu wóz; odpowiedział przecząco.

Przed powrotem do domu chciał posiedzieć na tarasie „Brasserie Dauphine”, jak tamtej nocy na tarasie pewnej kawiarni.

– Małe piwo, komisarzu?

Jakby z ironią, skierowaną do samego siebie, zawołał podnosząc oczy:

– Dwa małe piwka!

Spał do szóstej po południu na wilgotnej pościeli, przy oknie otwartym na odgłosy Paryża, a potem z obrzmiałymi powiekami zjawił się w jadalni tylko po to, żeby obwieścić żonie:

– Dziś wieczorem wybierzemy się do kina...

Pójdą do kina, trzymając się jak zwykle pod rękę. Pani Maigret nie zadawała mu żadnych pytań. Czuła niejasno, że mąż wraca z daleka, że musi na nowo przywyknąć do codzienności, do obcowania z ludźmi, którzy dadzą mu otuchy.

12 lipca 1955